

33/25

w sedno

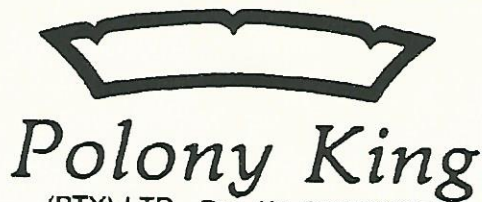
Nr 12
PAŹDZIERNIK/
LISTOPAD
1991

CZASOPISMO POLSKIE W AFRYCE POŁUDNIOWEJ



Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i Dosiego Roku 1992
Naszym Czytelnikom – Życzy Redakcja

170



Polony King

(PTY) LTD Reg. No. 88/03249/07
Manufacturers of Special Continental Delicatessen

Nasz adres:
47 Machine Rd
Elsburg
dojazd autostrada
R-17. (Toll)
kierunek

Zmowienia przyjmują:
p. Bogusława Koman i
p. Barbara Rogoza
tel. 827-7644/827-6653
w godz. 7.30-17.00
sobota: 7.30-12.00

DYREKCJA I PRACOWNICY "POLONY KING" SKŁADAJĄ SWOIM POLSKIM KLIENTOM NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIATECZNE I POMYŚLNOŚCI W NOWYM 1992 ROKU

NASZA SPECJALNA OFERTA:

| | |
|---------------------------------|--------------|
| Boczek wędzony..... | R-12.99 / kg |
| Kaszanka..... | R-15.99 / kg |
| Biała kielbasa (surowa)..... | R-14.99 / kg |
| Szynka Wędzona (gypsy ham)..... | R-23.99/kg |

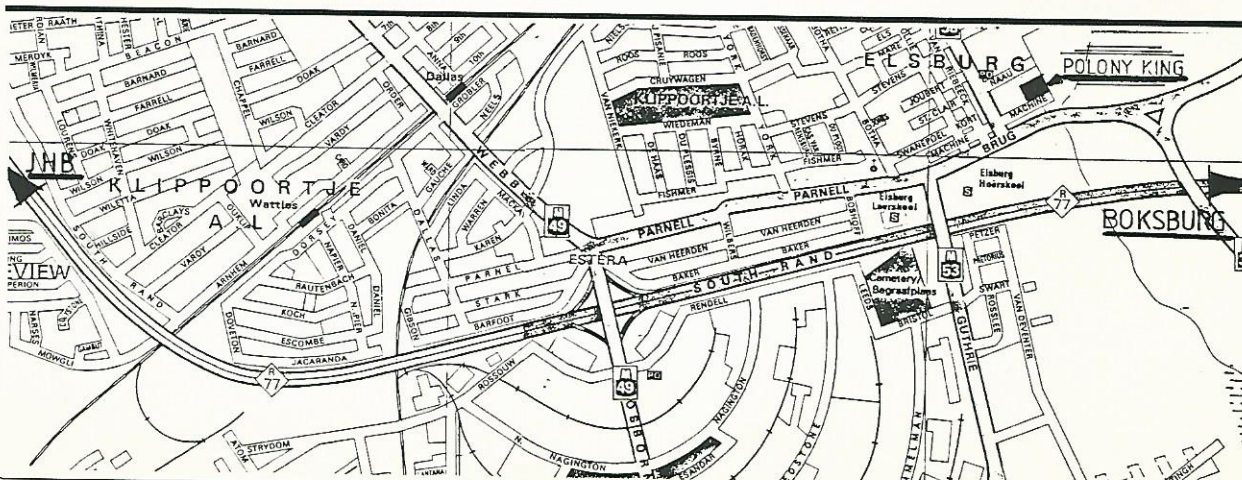
POZA TYM OFERUJEMY RÓWNIEŻ:

Duży wybór kielbas wg. polskich receptur
Salceson zwykły i ozorkowy
Golonke wędzona i peklowana
Boczek świeży i wędzony

UWAGA:

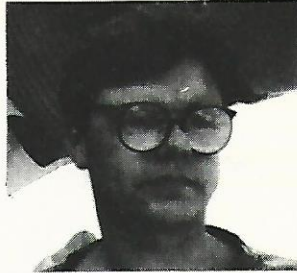
ceny specjalne ważne są wyłącznie w dniach 17-24.12.1991

Fabryka nie prowadzi sprzedaży wysyłkowej





Krzysztof Marski



Piotr Plebankiewicz

Od redaktora

Pisze te słowa na przysłowiowych walizkach. Już jutro odlece do Brukseli, a w dzień następny do Warszawy. Będzie to pierwsze od ponad dziesięciu lat moje "ogładanie" Polski. Czego oczekuje ktoś po tak długim niewidzeniu?

Dziesięć lat to szmat czasu, który spędziłem tutaj, na południu Afryki, tak daleko od miejsca urodzenia. Tutaj te dziesięć lat był to okres "wzywania się" w nowy kraj, nowe realia. W ten, czy inny sposób – był to okres asymilacji, przystosowania się do nowego świata. Jak większość z nas, kraj ten polubiłem. Żyje się tutaj wygodnie i stosunkowo łatwo. Ciągłe olsniwia mnie przyroda i zachwyca urok tego kraju, który przyjął mnie gościnnie i ciągle jeszcze zachęca do powrotu.

Tam, w Polsce, zostawiłem szmat życia – ponad trzydzieści lat. Co po tak długim okresie pomieści się z poprzedniego życia? Pamięć ludzka jest zawodna, ale przede wszystkim wybiórca – selektywna. Wydaje się, że natura celowo obdarzyła nas tym wspaniałym urządzeniem, które zwykle wymazuje sytuacje przeciętne, bezbarwne i codzienne. Pamiętamy zazwyczaj zdarzenia ekstremalne – bardzo udane i bardzo negatywne. Chwile szczęścia i rozpacz.

Przy tak wyostrzonym – kontrastowym obrazie również nasze oczekiwania jawia się w bardzo skrajnych barwach. Naładowani przeczytana prasa i doniesieniami z Polski obawiamy się, że zastaniemy tam "dom wariatów", w którym trudno będzie się znaleźć. Z drugiej strony, każdy z nas ma w oczach wyidealizowany obraz polskiej przyrody – te bary na halach, stokrotki i kaczenie, Żelazowa Wola i wieży mazowieckie, Kościółek św. Wojciecha i Sukiennice.

Z takim to, normalnie polskim bagażem emigracyjnym rusza Wasz redaktor w nieznane. Spróbujcie moje wrażenia opisać po powrocie.

Co u nas, w dwunastym (12) już numerze. Ostatnie wybory jednych wprawiły w skrajną rozpacz, drudzy szukają analogii z przed wojny i stwi-

erdzają, że polityka w Polsce była wtedy podobna. Równie dużo było wtedy partii politycznych, podobny balagan. Wydaje się jednak, że we współczesnym świecie, w którym tempo zmian stało się oszłamajające, Polska ma niestety mniej czasu na zrobienie porządku, niż przed wojną. Myślę, że w końcu to się stanie szybciej niż przypuszczamy – państwa nie ogłaszają przecież upadłości, a zdrowy rozsądek zwykle w końcu zwycięża. Zamieszczamy cały plik powyborczych refleksji z polskiej prasy dotyczący polityki, głównie wewnętrznej, ale i zagranicznej.

Na szczególnej wzmiankę zasługuje przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na inauguracji Sejmu w dniu 25 listopada 1991. Ja odczytałem to przemówienie ze spora doza optymizmu i podziwu dla Walesy jako meza stanu, który, kto wie, stanie się może rzeczywiście mezem opacznościowym Polski. Oby tak się stało!

Nasuwa mi się tutaj krzepiaca ducha refleksja. Znajoma Afrykanerka odbyła dwa miesiące temu podróż po Europie Wschodniej – głównie Rosji, Ukrainie i Białorusi. W drodze powrotnej zatrzymała się na dwa dni w Warszawie. Byłem absolutnie zaskoczony, ile pochlebnych słów usłyszałem od niej na temat Polski. Twierdzi, że zmiany i dynamika społeczeństwa są ogromne. Zrobiła nawet bardzo dla Polski korzystne porównanie z RPA. Uważa, że przed Polska i Polakami otwierają się piękne perspektywy, podczas gdy tutejsza sytuacja napawa ją pesymizmem.

Z innej beczki – polityki polsko-południowo afrykańskiej. Z kol dobrze poinformowanych otrzymałem wiadomość, że w najbliższych miesiącach, w ramach swojej wschodnioeuropejskiej podróży Prezydent F.W. de Klerk odwiedzi oficjalnie Polskę. Podczas tego pobytu podpisany zostanie dokument o podniesieniu przedstawicielstw obu krajów do rangi ambasad – zostaną nawiązane pełne stosunki dyplomatyczne. Do tej niewatpliwie radosnej dla nas decyzji przyczyniła się w sposób istotny dotychczasowa wytrwała praca Polskiego Biura Interesów w Pretorii z Radcą Min. Pełnomocnym panem

Stanisławem Cieniuchem na czele.

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, kończy się 1991 rok. Z tej okazji, wraz z całą redakcją, chce złożyć Państwu najlepsze życzenia Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku. Wszystkiego dobrego.

Wasz Redaktor

W NUMERZE:

strona:

4. Życzenia Świąteczne

- List Szefa Biura Interesów RP w Pretorii, pana Stanisława Cieniucha do Czytelników i Redakcji "W SEDNO"

5. Lekcja pokory

- Proba analizy sytuacji politycznej w Polsce po październikowych wyborach do Sejmu

7. Przemówienie prezydenta

L. Walesy

- Mowa prezydenta RP inaugurująca nową kadencję Sejmu

8. Klocki zostały rozrzucone

- Wywiad z wicepremierem, ministrem finansów w rządzie K. Bieleckiego, Leszkiem Balcerowiczem

9. Bufor na trasie W-Z

- Główne kierunki w polityce zagranicznej RP

11. Paraliz szarych komorek

- Czy Polacy są leniwi?, zastanawia się Marek Ziolkowski

12. Nadzyc za historia

- wywiad z ambasadorem Niemiec w Polsce Guenterem Knackstedtem

13. Między fikcją a deklamacją

- Wiesław Kot o zmarłym niedawno Stefanie Kisielewskim

14. Co kontynent afrykański pocznie bez apartheid'u?

- na to pytanie próbuje znaleźć odpowiedź pani Małgorzata Dziewiecka

15. Najkrotsza droga

- ostatni odcinek wspomnień z tego cyklu, piora pana Henryka Samolińskiego

17. Proces lewicy akademickiej w Wilnie w 1936 r.

- wspomnienia pani Ady Winczy

19. I to by było na tyle...

- pożegnanie Piotra Plebankiewicza z działalnością edytorską i czytelnikami "W SEDNO"

20. FOTOPLASTIKON

21. Wydarzenia

Skład redakcji: Krzysztof Andrzej Marski, Piotr Plebankiewicz.
Współpraca: Piotr Michalczyk, Marek Mijałnicki, Maciej Poludniak

Redakcja nie odpowiada za prawdziwość informacji podawanych w zamieszczonych przez nas ogłoszeniach.

Adres redakcji: P.O.Box 2300
tel. 800 4365 (redaktor)

Randburg 2125 Fax 011/ 787 4186
726 5897 (wydawca)

"Porusza mnie ten ogrom ludzi polskiego pochodzenia rozsianych po całym świecie, jakby gdzieś rozbił się wielki polski statek. I coraz bardziej boli, że my w kraju nie możemy tego nieszczęścia, jakim była emigracja, przekuć na szansę. Emigracja polska może podnieść nasz kraj dzisiaj w ruinie o kilka pieter w górę. I ważniejsze chyba niż pieniądze są umiejętności tych ludzi, często wybitnych fachowców ze wszystkich dziedzin."

Tomasz Jastrun

Redakcja i Czytelnicy
dwumiesięcznika "W SEDNO"



Szanowni Państwo,

Przed kilkoma miesiącami została mi powierzona misja normalizacji stosunków między Rzeczpospolitą Polską, a Republiką Południowej Afryki. Oznaczało to konieczność ustanowienia po blisko połwiekowej przerwie oficjalnych kontaktów z rządem, przywódcami ugrupowań opozycyjnych, a także przedstawicielami kol gospodarczych, świata nauki i kultury i sportu. Był to okres intensywnych wysiłków, których owocem stało się nawiązanie korzystnej współpracy dwustronnej w wielu dziedzinach, oraz rozpoczęcie tworzenia infrastruktury prawno-traktatowej. Dla przykładu we wrześniu b.r. podpisano w Warszawie pierwszą umowę handlową, która stwarza dobre podstawy dla szybko rozwijającej się współpracy ekonomicznej między Polską i RPA. Równolegle negocjowane są inne porozumienia międzynarodowe, a także trwają przygotowania do ważnych wizyt państwowych. Rząd polski z uznaniem i szacunkiem odnosi się do polityki reform zapoczątkowanych przez Prezydenta F.W. de Klerka, jak również inicjatyw tych przywódców sił politycznych w RPA, którzy poszukują pokojowych i demokratycznych rozwiązań trudnych problemów kraju, demonstrując odwagę i wyobraźnię w przezwycieżaniu ciężaru bolesnej przeszłości oraz podziałów i uprzedzeń.

Bardzo istotne znaczenie dla naszych interesów posiada obecność w RPA kilkunastotysięcznej wspólnoty polskiej. Wszyscy w kraju jesteśmy dumni z osiągnięć zawodowych i pozycji społecznej jej członków. Osobiscie mogłem się przekonać o wielkim patriotyzmie i zaangażowaniu w polskie sprawy wielu Rodaków. Pragnę wyrazić głęboką wdzięczność tym z Państwa, którzy udzielali mi oraz moim współpracownikom cennej pomocy w niełatwym okresie organizowania od podstaw urzędu dyplomatyczno-konsularnego RP.

Chciałbym też podziękować za współpracę zespołowi pisma "W SEDNO", gratulując mu jednocześnie sukcesów w informowaniu Polaków w Afryce Południowej o przełomowych, a często dramatycznych wydarzeniach w Polsce i na świecie. Jest to ważna rola Waszego dwumiesięcznika, ponieważ oberwujemy dzisiaj powstawanie nowego pojaltańskiego ładów międzynarodowego. Ambicja oraz polski interes nakazują nam dokonywanie pogłębionej i trzeźwej analizy skomplikowanej rzeczywistości. W okresach gwałtownych, epokowych przemian, należy uczynić wszystko, aby uniknąć realnych zagrożeń dla bytu narodowego. Życie w wolności wymaga wysiłku i poświęcenia. Odzyskana suwerenność zobowiązuje Polaków do dokonania, mimo pietrzających się trudności, dzieła budowy demokracji, reformy gospodarki oraz zapewnienia przez właściwą politykę zagraniczną i obronną bezpieczeństwa państwa. Zadania te wymagają wielkiej wiedzy i uporu.

Korzystając z okazji pragnę złożyć Szanownym Państwu – Czytelnikom oraz Redaktorom pisma "W SEDNO", a także za Waszym pośrednictwem wszystkim Polakom w RPA – najserdeczniejsze życzenia Wesółych Świąt Bożego Narodzenia oraz pomysłności w Nowym 1992 Roku.

Stanisław Cieniuch

Szef Biura Interesów RP w Pretorii
Radca – Minister Pełnomocny

Z KRAJU

Co zdarzyło się 27 października?

LEKCJA POKORY

Marian Turski, Wiesław Władyka

Wyборы miały swój wymiar, chciałoby się powiedzieć – poetycki. Służycy miały spełnieniu demokracji i wolności, zakonczyć ostatecznie okres przejściowy, pogrzebac sejm kontraktowy i zdekomunizowac układ polityczny. Ale wybory miały też inny wymiar, bardziej prozaiczny. Były one przede wszystkim i po prostu najwzyczajniejsza walka o władze badz przynajmniej o udział w niej. Ta walka nie przyniosła rozstrzygnięcia.

Czy nam się to podoba czy nie; chcemy tego, czy nie: jest jedna prawda oczywista wynikająca z wyborów, także z zanotowanej frekwencji: tacy dzisiaj jesteśmy. Niska frekwencja jest sygnałem, iż w dalszym ciągu słabnie zaufanie do polityki jako takiej, a ludzie nie wierzą by istniała rzeczywista relacja między urną a ich bytem. Jest to fakt nadzwyczaj niepokojący, gdyż milcząca większość jest i będzie wielką polityczną niewiadomą. Jakie energie w sobie kumuluje i jak się one wyzwolą? Te pytania i obawy podcinać mogą skrzydła każdej polityce, zwłaszcza, że z natury rzeczy będzie ona wyrazem woli, takiej lub innej, ale zawsze mniejszości.

Mozaika

Zas czterdziestu procent elektoratu podzieliło się na różne sposoby i kolory. Krytykowanie ordynacji wyborczej nic tu nie da. Wybory odpowiedziały na pytanie, na jakie miały w koncu odpowiedzieć: jak Polacy myślą politycznie? Na pewno warto było te prawde w całej jej krasie, poznać. Też będzie problem rządu. Gdyby ordynacja miała na celu złatwienie tej tylko sprawy, przez nieco sztuczne kreowanie sztucznych ugrupowań, stało by się to kosztem pluralizmu i społecznej reprezentacji. Latwiej może byłoby rządzić, ale falsyfikacja rzeczywistości politycznej byłaby niepodważalnym faktem. Ordynacji (rzecz charakterystyczna, że dziś najmocniej krytykują ci, którzy jeszcze niedawno byli jej obrońcami) nie tworzy się wyłącznie po to, by rządzić było łatwo, a również po to, może przede wszystkim?, by związać politykę rządzących z rządzącymi.

Trudno, ale chyba należało chyba przejść przez te wyborcze drogi prawdy i upokorzenia. Stało się ono udziałem większości pretendentów demonstrujących wcześniej swą wolę rządu i kierowania państwem.

Wyobrazmy sobie, że spełnione byłoby marzenie niektórych polityków, że wybory odbyłyby się wedle systemu większościowego. Wygrywa, powiedzmy, Unia Demokratyczna i zdobywa większość w Sejmie. No i co z tego? Stormowałaby rząd o mocnym zapleczu parlamentarnym, rząd, który nie byłby wprawdzie narazony na poddmuchy sejmowe, ale za to całkowicie bezbronny

wobec sfrustrowanej – a może i zdeperowanej – opozycji pozaparlamentarnej. Przypomnijmy sobie jak mocna była reakcja ugrupowań pozaparlamentarnych na autentyczne i silne zaufaniem społecznym jądrom "Solidarności" w Sejmie. Między innymi z tego powodu Lech Walesa uważał, że należy przyspieszyć podział "Solidarności" – właśnie po to, aby spluralizować polską scenę polityczną. I to się udało! Może nawet za bardzo.

Oczywiście tu powstaje pytanie: czy była to decyzja słuszną? Czy nie należało "wojny na gorze" odłożyć jeszcze o jakiś czas, by pod parasolem jako tako jednolitej "Solidarności" przeprowadzić Polskę przez Morze Czerwone od jednego ustroju do drugiego. Czy nie należało tego uczynić również w interesie państwa, choć kosztem możliwości rozwoju licznych drobnych ugrupowań, a także ambicji osobistych niektórych polityków? Ta refleksja ciągnie nas dzisiaj jednak w stronę gdybania historyczoficznego, bowiem mleko zostało rozlane, a dziś trzeba przypatrzeć się krajobrazowi po bitwie i jego ewenualnym konsekwencjom.

Czy 27 października jest szokiem, jak większość komentatorów gorąca noc wyborcza stwierdziła?

Kto jest rozczarowany po 27 października? Niewiele powinno być, jeśli porównamy prognozy instytutów badania opinii publicznej z wynikami.

Sa one bardzo zbliżone do przewidywanych.

Niespodzianki w stosunku do przewidywan sa trzy: największa sprawiła Konfederacja Polski Niepodległej – potrajając przewidywany elektorat. Wyborcza Akcja Katolicka, która przekroczyła dwukrotnie prognozy i Sojusz Lewicy Demokratycznej, który uzyskał niespełna dwukrotny przyrost.

Trzy niespodzianki

Przypomnijmy, że w ostatnich dniach zwiększył się ogromnie nacisk na wyborców. Dwukrotne wystąpienie pana prezydenta, ostrzegającego przed "silami postkomunistycznymi", mocne zaangażowanie się księży i ich doradztwo na rzecz partii chrześcijańskich, a zwłaszcza listę nr 17, wypowiedzi antykomunistyczne – wielokrotnie powtarzane w prasie, w radiu i telewizji. Również wpływające na nastroje, a właściwie na podświadomość, obrazy pokazywane w telewizji w przeddzień wyborów (Katyn i inne fragmenty z najnowszej historii Polski). Ale na świadomość pewnej części elektoratu wpłynęła również – świeżo dyskutowana a ogromnie dotkliwa – sprawa rent i emerytur. Wydaje się, że te czynniki kampanii wyborczej – poprzez działania pozytywne i negatywne – wpłynęły na wspomniane trzy niespodzianki.

Co ciekawe, znaczna część analityków spodziewała się przyrostu głosów właśnie dla wspomnianych tu ugrupowań – zwłaszcza WAK i SLD – w przypadku zwiększonej frekwencji; tu prognozy okazały się nieco mylne. Zapewne należy przyjąć, że przy niskiej frekwencji (40%) – lepiej poradził

sobie partię, które dysponowały sprawniejszym aparatem i kadra, a więc KPN, SLD, PSL.

Rezultaty nie powinny być więc – w zasadzie – zaskoczyć zainteresowanych. A jednak zaskoczyły! Dlaczego? Dlatego, że wiele ugrupowań widziało "oczyma duszy" wyniki na miarę swoich aspiracji. Tutaj rzeczywistość zbudziła ze snu wielu polityków.

Przypomnijmy jakich wyników oczekiwali liderzy poszczególnych ugrupowań (co widzieliśmy w TV):

Posel Lopuszanski (WAK) spodziewał się kilkunastu procent, uzyskali poniżej dziesięciu. Pos. Bugaj dwóch do osmiu procent – rezultat – w strefie oczekiwanych, p. Krzysztof Krol – 30–40% (choć zaznaczył, że dopiero w dalszej przyszłości), p. Korwin-Mikke (UPR) – 11%, otrzymali poniżej trzech, senator Slisz (PL): 15–25%, rezultat – w granicy pięciu. Bogdan Borusiewicz (NSZZ "S"): 20% – rezultat: około pięciu. Najbliżsi spodziewanych rezultatów okazali się pos. Cimoszewicz, który liczył na 10–15% oraz lider Kongresu L-D Donald Tusk, który dokładnie przewidział wynik (7–9%, uzyskali ok. 7%), lecz aspiracje dotyczyły "miejsca na pudle", czyli trzeciego miejsca (okazało się siódme w kolejności).

Posel Kuron nie chciał prognozować, ale nie ulega wątpliwości, że Unia Demokratyczna przez cały czas kampanii mierzyła dużo wyżej i liczyła na to, że jej pozycja lidera gabinetu reform, lidera koalicji postsolidarnościowej będzie niekwestionowana. Jeśli jednak zwązyc, że Kongres Liberalno-Demokratyczny i osobiście premier Bielecki musieli odpięrac ataki wszystkich sil opozycyjnych (włącznie z tymi, które zasiadały w rządzie) – postulujących bardziej sprawiedliwe rozłożenie kosztów przemiany ustrojowej, ożywienie i danie szansy sektorowi państwowemu, zwiększenie interwencjonizmu państwowego w gospodarce oraz silniejsze zaangażowanie się państwa w osłone socjalną – to należy chyba uznać za duży sukces wynik wyborczy KLD. W koncu – zanim J.K. Bielecki objął szefostwo rządu – było to małe ugrupowanie sztabowców, dziś stało się autentycznym stronnictwem o autentycznych wpływach.

Sadziemy, że jednym jeszcze zdaniem należy uzupełnić sekwencję "niespodzianek". Społeczeństwo nie dało poparcia hasłowym partiom skrajnie narodowym o hasłach antysemitów! W sumie "niespodzianki dowodzą, że w przededniu wyborów przeceniono wpływ elit na społeczeństwo, a także oddziaływanie pana prezydenta na wyborców oraz Kosciola (które w skutkach okazało się nie tak duże jak zamierzone).

Kto z kim?

Pytanie zasadnicze: czy z tych rozsypanych klocków da się coś zbudować? W systemach demokratycznych, jeśli żadna partia nie uzyskuje wyraźnej większości, prawo formowania koalicji należy zazwyczaj do najsilniejszego ugrupowania. W naszych warunkach byłaby to Unia Demokratyczna. Politycy tej partii, po ogłoszeniu wstępnych prognoz wyborczych, wyrazili

Z KRAJU

gotowosc do przystapienia do rozmow koalicyjnych. Jednak w miare naplywu bardziej precyzyjnych danych, okazalo sie, ze przewaga Unii nad innymi prtiami jest tak nieznaczna, ze jej rola, jako osrodka krystalizacji przyszlej koalicyji rzadowej, moze byc z latwoscia kwestionowana przez inne ugrupowania. Mamy wiec dodatkowy klopot - trudno wykluczyc ze co najmniej dwie lub trzy partie beda probowaly rownolegle montowac sojusze powyborcze. W takim przypadku decydujace moze okazac sie poparcie prezydenta, a tego poparcia raczej nie uzyska Unia Demokratyczna. Symboliczne zwyciestwo wyborcze Unii nie bedzie miało zapewne wiekszego znaczenia przy nastepnych rozdaniach.

Patrzac na parlamentarna mozaikę, nieslychanie trudno znalezc jakis wspolny mianownik, który pozwolilby zbudowac rzadowa wiekszosc. Czy moze byc tym mianownikiem wspolna solidarnosciowa przeszlosc? Arytmetycznie, wszystkie ugrupowania przyznajace sie do solidarnosciowego rodowodu, maja nieco powyzej polowy miejsc w parlamencie. Jednak polityczne i programowe rozbicie ruchu solidarnosciowego zaslo juz tak daleko, ze szwy zaczyna sie pruc juz w momencie zakladania. Jak posklejac UD i POC, NSZZ "S" i KLD, dodajac jeszcze do tego ZChN? Zreszta, tym razem wyborcy nie glosowali na "Solidarnosc" (mozna nawet powiedziec, ze przeciw niej), a tworzenie "koalicyji Solidarnosci" byloby jakimś naduzyciem woli wyborcow. Etos Solidarnosci wydaje sie byc zbyt slaby, aby uniesc przyszly sojusz rzadowy.

Moze wiec lacznikiem koalicyji stana sie wartosci chrzescijanskie? Kilka znaczących (jak na ten parlament) ugrupowan okresla sie jako chadeckie (POC, WAK, Porozumienie Ludowe, Chrzescijanska Demokracja, a także czesc Unii Demokratycznej i w pewnym stopniu KPN oraz NSZZ Soidarnosc). W sumie wystarczyloby - byc moze - mandatow na sformowanie koalicyji wiekszoscowej, z tym jednak ze "wartosci chrzescijanskie" z trudem daja sie przelozyc na spojny program rzadowy, a zwlaszcza w sferze gospodarczej. Niemniej przy wsparciu prezydenta i Episkopatu taka kolicja wydaje sie mozliwa, kazdy jednak konflikt, np. miedzy UD i ludowcami, czy Unia i KPN-em, grozilby rozpadem sojuszu, a przeciez w tej układance osi konfliktow jest znacznie wiecej.

Teoretycznie istnieje mozliwosc sformowania dwoch lub trzech koalicyji mniejszoscowych, wygrywajacych "tematyczne" poparcie pozarządowych ugrupowan. Osrodkiem takich układow moglby sie stac sojusz dotychczasowych ugrupowan rządzących (UD i KLD), albo dotychczasowej opozycji (WAK, POC, KPN). Ruch ludowy wyszedl z tych wyborow tak slaby,

ze samodzielnie nie moze odegrac roli czynnika koalicyjotworczego; to samo dotyczy tzw. lewicy postsolidarnosciowej, która wrecz poniosla kleske, zwlaszcza w zestawieniu z bardzo dobrymi wynikami SLD i PSL.

Powyborczy układ parlamentarny swietnie nadaje sie do roznych spekulacji, ukłádania i przekłádania klocek. Widac jednak gołym okiem, ze zaden przyszly układ koalicyjny nie gwarantuje stabilnosci władzy wykonawczej. Parlament, w którym najslabiejsza partia nie ma nawet 14% glosow, nie moze zapewnic sprawnosci rządzenia. Stad zrozumiale sa glosy stworzenia rządu, mniej lub bardziej pozaparlamentarnego, podpartego autorytetem prezydenta i korzystajacego z przyzwolenia swiadomego swej slabosci, Sejmu.

Pierwsza kadencja

Wprawienie w ruch sejmowej maszyny i sformowanie rządu to na dzis największe wyzwanie dla elit politycznych. Gdyby sadzic po pierwszych reakcjach przedstawicieli tych elit zadanie niewykonalne. Nalezylby miec nadzieje, ze uplyw czasu, zastanowienie sie nad tym co naprawde wydarzylo sie w Polsce w dniu 27 pazdziernika sprawi, ze politycy zaczną chłodno ocenic sytuacje.

Byly to drugie po prezydenckich wolne wybory. Druga lekcja mlodej polskiej demokracji i z obu podobne plyna wnioski. Po 27 pazdziernika nie ulega watpliwosci, ze konczy sie tym razem juz naprawde, okres rządow Solidarnosci (obwieszczano to juz wprawdzie kilkakrotnie, ale jednak przedwczesnie - w wyborach prezydenckich obaj solidarnosciowi kandydaci nie dawali jeszcze konkurentom powaznych szans na zwyciestwo). Tym razem ugrupowania solidarnosciowe zaledwie otarły sie o granice 50% uzyskanych glosow.

Konczy sie okres dominacji wielkiego ruchu spoleczno-politycznego, ale jeszcze nie do konca wiadomo jakie sily i jakie stuktury to miejsce zapelnia. Partie nadal sa slabe (przypomnijmy Sojusz Lewicy Demokratycznej to ponad 15 ugrupowan, organizacji i zwiazkow zawodowych), nie maja czesto poza sztabami i swoimi elitami

wlasych aparatow i kadr, istnieja bez solidnego zaplecza politycznego, a wspierane sa przy wyborach przez elektoraty cokolwiek mglawicowe. A czesto podstawowym ich problemem jest brak jakiejkolwiek filozofii politycznej, która dawalaby sile i kierunek programom na dzis, wyzszy sens stosowanym taktynom i rozszodom personalnym. Tematem samym w sobie jest bowiem nipojety dla wielu ludzi chaos slow, akcesow, frond, sojuszy zaprezentowany nam w okresie przedwyborczym.

Pierwsze wolne wybory w Polsce postkomunistycznej daja tez sposobnosc podsumowania drogi historycznej, jaka przeszly wszystkie partie i ugrupowania polityczne. Charakterystyczne, ze nie reaktywowały sie faktycznie, (to znaczy fakt ich istnienia nie zostal potwierdzony przez wyborcow) na miare swoich aspiracji tradycyjne formacje, silne kiedyś i wazace na zyciu politycznym Drugiej Rzeczypospolitej. Choćby endecy i socjalisci. Od biedy mozna mowic o pewnej kontynuacji w odniesieniu do ruchu ludowego, ale rzecz jest tu bardziej skomplikowana, bowiem najslabiej ugrupowaniem pozostalo PSL dawniej ZSL. Tak oto silniejsza niz tradycja Drugiej RP okazala sie masa upadlosciowa PRL-u, w której jednak zabraklo miejsca dla Stronnictwa Demokratycznego, bo juz stary PAX, jak zawsze zreczny, umial sie przykleic do innych.

Jest to kolejne potwierdzenie tezy, ze Trzecia Rzeczpospolita poetycko nawiązująca do Drugiej jest dziedzicem nade wszystko PRL. A nowe partie, które wylonily sie w ostatniej dekadzie i w ostatnich latach i miesiacach także z dawna przeszloscia maja juz tylko kontakt nostalgiczny. Zdazyła sie tego juz nauczyc tzw. lewica postkomunistyczna, do tej prawdy dojsc musza jednak wszyscy uczestnicy demokracji w Polsce. Wszystkie partie bez wyjatku otrzymaly lekcje pokory. Jesli ta lekcja zostanie zrozumiana, moze nie przegramy tych wyborow.

Wspolpraca:

Jerzy Baczynski,
Janina Paradowska
"Polityka" nr44 2.11.1991



Pelny tekst wystapienia Prezydenta RP L. Walesy wygloszonego na inaugu- racji Sejmu w dniu 25 listo- pada br.

Panie marszalku, Panie, Panowie.

Sa w dziejach panstw i narodow chwile szczegolne. Chwile przelomowe. Taka chwila jest dzien dzisiejszy. Czekalismy przeszlo pol wieku. Wybrany w wolnych wyborach Prezydent otwiera pierwsze posiedzenie wylonionego w wolnych wyborach Parlamentu. Osiagnelismy to, o co walczily pokolenia Polakow.(...) Zmienila sie i zmienia Polska scena polityczna. Wybory parlamentarne byly kolejna lekcja demokracji. Lekcja trudna. Bez podrecznikow i bez nauczycieli. Zapelnila sie partiami Polska scena. Powstaly polityczne elity. U wielu rodzi to obawy o los wspolny, bo kazda partia zdale sie byc przekonana o slusznosci wlasnego drogowskazu, o drodze, po ktorej kroczy, i ktora wedle niej winno isc cale spoleczenstwo. Zada, by wedlug jej programu realizowany byl interes panstwa, interes ogolu, los narodowej wspolnoty. Partie maja do tego prawo. Demokracja to wlasnie prawo do wlasnych racji.

Ale wsrod wielosci rownorzednych racji musimy wylonic te najwazniejsze. Walka o wlasne racje, z lekcewazaniem racji innych, niesie zaniedbanie spraw spolecznie slusnych. Budzi niepokoj, powoduje apatie, zniecheca. Wspolne nasze cele musza stac sie wazniejsze od partyjnych interesow.

Arytmetyka wyborcza nie musi triumfowac roznorodnoscia zdan, pogladow, ocen. Moze ona - w drodze kompromisu - doprowadzic do tego, co nas powinno laczy. To fundament parlamentarnej wiekszosci. Trwalosc Rządu, stabilnosc Panstwa.(...) W ostatnich dwoch latach wiele nam sie nie udalo. Rzne byly tego przyczyny. Zapewne niektore z nich wyniknely z tego, ze nie wszyscy uswiadomili sobie koniecznosc przebudowy panstwa, skale tej przebudowy i tempo tej pracy. Takze i ci, ktorzy nie poszli do urn, o nich rowniez parlament powinien pamietac. Wtedy wasza dzialalnosc spoleczenstwo poprze i do naszych staran dolaczy. Musimy zaczac juz od zaraz. Zwloka w jednaniu wokol najwazniejszych wspolnych spraw rodzi wiele zagrozen.

Ostatnie lata i ostatnie dni dowiodly, jak pilnym zagadnieniem jest sformulowanie nowej konstytucji.

Demokratyczne panstwo prawa nie moze byc tylko deklaracja. Prawo musi stac na strazy dobra ogolu. Wychodzac naprzeciw woli wiekszosci, nie mozna jednak ignorowac interesow mniejszosci. W obliczu prawa wszyscy jestesmy rowni. Bez wzgledu na przekonania i miejsce jakie w spoleczenstwie i panstwie zajmujemy. Konstytucja nosi miano ustawy zasadniczej. Bo w sposob zasadniczy okresla ono model ustrojowy panstwa. Wyrazam

przekonanie, ze parlament podzieli moj poglad o koniecznosc oparcia konstytucji na zasadzie:

"Wladza zwierzchnia w Rzeczypospolitej nalezy do Narodu". Potwierdzimy w ten sposob nasza przynaleznosc do rodziny Wolnych Narodow i Panstw demokratycznych. Nie ma demokracji bez poszanowania naturalnych praw czlowieka. Wyrazne uscilenie praw obywatelskich i ich konstytucyjna gwarancja, to rowniez sprawa, ktora - jestem o tym przekonany - zjednoczy Narod. Musimy wypracowac sprawnie funkcjonujacy system wladzy panstwowej, system podzialu i rownowagi. Sprezycowanych kompetencji, wsrod nich wladzy wykonawczej. Powinna uzyskac ona prawno mozliwosc efektywnego sluzenia narodowi. Sadze, ze nim uchwalona zostanie nowa konstytucja, potrzebna bedzie, "mala konstytucja". Nie sposob opierac sie wciaz na ustawie zasadniczej.

Uzdrowienie gospodarki jest warunkiem wszystkich kolejnych poczynan. Tylko silna, rozwijajaca sie gospodarka moze stworzyc ramy do reformowania innych obszarow naszego zycia panstwowego i spolecznego.(...)

Polska wybrala juz droge gospodarki rynkowej. Na dole opiera sie ona na indywidualnej inicjatywie i przedsiebiorczosci. Ale na gorze wciaz jest kierowana i to mocno. Zwlaszcza regulami prawnymi, od budzetu po kredyt.(...) Naszym zadaniem na najblizsze lata to, by wszyscy znalezi wlasne miejsce w gospodarce III Rzeczypospolitej. Jak uczynic Polske dla Polakow. Musimy przy tym pamietac, ze sa wsrod nas i ci mniej przedsiebiorczy, ktorym powinniśmy stworzyc warunki godnego zycia, jak i ci nadto przedsiebiorczy, ktorzy powoduja skutki irytujace spoleczenstwo. Niektorzy przekraczaja wrecz ramy prawa.(...)

Nie osiagniemy jednoczesnie wysokiego poziomu zycia panstw o wolnym rynku przy splnieniu wszystkich obietnic socjalnych, ktorymi do niedawna karmila nas komunistyczna propaganda. Musimy polegac przede wszystkim na wlasnych silach. Jakze czesto tej sily nie dostrzegamy. Nie doceniamy. Musimy otrzasnac sie z marazmu i apatii. Nie zmieniajac naszych postaw, naszej mentalnosc, nie wydestaniemy sie ze starego systemu.(...)

Jak umacniac miejsce Polski w swiecie i w Europie, w ktorej Zachod scala sie i jednoczy, zas Wschod w trudzie i w wielkiej niepewnosc szuka swego nowego politycznego i narodowego ksztaltu. Jak uczynic Polske atrakcyjna dla partnerow handlowych, dla kapitalu, dla zwyklych gosci ze swiata? Otworzyliśmy drzwi. To nie wystarczy. To dopiero poczatek. Przyjazne - jak nigdy dotad - stosunki lacza Rzeczpospolita ze Stanami Zjednoczonymi, Francja i Wielka Brytania, Wlochami i Skandynawia, takze Japonia. Ale nie tylko z tymi i "Wielkimi tego Swiata". Rowniez i z innymi panstwami roznych kontynentow i roznych regionow. Rzeczpospolita wyciaga przyjazna dlon do wszystkich naszych sasiadow. Nasze stosunki z Niemcami,

utrwalone w traktacie, trzeba bedzie wypelnic trescia. Pamietajac o krzywdach, zostawimy jednak uprzedzenia i nieufnosc. Przy dobrej woli obu stron - w co nie watpie - na rezultaty wspolpracy nie trzeba bedzie dlugo czekac. Do dalszego pomyslnego rozwoju stosunkow z Czcho - Slowacja i Wegrami przywiazujemy zasadnicza wage. Trojkat: Warszawa - Praga - Budapeszt, nie jest skierowany przeciwko komukolwiek.

Nasi sasiedzi na wschodzie maja w Rzeczypospolitej sasiedza przyjaznego i otwartego. Takze zyczliwego dla wysilkow w budowie demokracji i suwerennosci. Odnosi sie to zarowno do Kijowa, Minska i Wilna jak i Moskwy. To jest trwala, wielokrotnie juz zadeklarowana, polityka naszego panstwa. Polska nie ma zadnych roszczen terytorialnych. Polska nalezy do pierwszych panstw, ktore uznaly niepodleglosc Litwy, Estonii i Lotwy. Wiele nas w dziejach laczylo z narodami znad Baltyku. Na dobre i zle. Ponownie - tu przed wysokim Sejmem - chcialbym powitac Litwe, Lotwe i Estonie w rodzinie wolnych narodow.(...)

Mowimy czesto o naszym "powrocie do Europy". Bylismy w niej zawsze. Nie tylko geograficznie. To po Jalcie ja podzielono "zelazna kurtyna", murem, zasiekami.

Kurtyna opadla. Mury legly w gruzach.

Nic nas nie dzieli. Wedruja ludzie i idee. Pamietajmy, ze jesli Polska potrafila przyciagnac uwage narodow, to dzialo sie to za sprawa naszej kultury. Ta kultura tworzyla zawsze wartosci wyrastajace z pnia sroziemnomorskiej cywilizacji, z chrzescianskiej wspolnoty duchowej. Ale zawsze dawala swiatu wartosci odrebne i niepowtarzalne. Nasze. Wlasne. Polskie.(...)

Przed nami dzieło naprawy Rzeczypospolitej. Od nas zalezy jej przyszly ksztalt. Wysiłek bedzie to ogromny i trudny. Ale i piekny zarzem. Jak kazde wielkie dzieło tworzenia. Wsrod wielu prac, ktore podejmiecie sprawa najcenniejsza bedzie sformulowanie konstytucji, ustawy, ktora zadecyduje o modelu ustrojowym naszego panstwa. Przed Wysoka Izba wiele spraw do rozwiazania. Ogrom tworzenia. Spoleczenstwo zmeczone, podzielone i niezadowolone. Wielkie zwiaststwo przyszlo na drodze ewolucyjnej, poprzedzone wieloma kompromisami.

To sa koszty tego stylu walki. Bez strzalu doprowadzilismy do wolnej III Rzeczypospolitej.(...)

Konczac prosze Wysoka Izbe, by majac na uwadze ogrom zadan, ale i wielki podzial partyjny w Parlamencie, najpierw dochodzila do budowania koalicji i programu dla Polski, dopiero potem demontowala struktury. Zapewni to stabilnosc panstwa, stabilnosc rządu. Ja jako Prezydent Rzeczypospolitej podporzadkuje sie demokracji.

Zycze Sejmowi, by w przyszlosci zyskal zasluzone miano reformatora. By stal sie konstytuanta III Rzeczypospolitej.

Szczesc Boze

ZKRAJU

KLOCKI ZOSTAŁY ROZRZUCONE

Rozmowa z Leszkiem Balcerowiczem, wicepremierem i ministrem finansów

– "Piecuset ludzi" – według jednego z projektów prezydenta Walesy – wystąpić ma w roli "innego Balcerowicza, który przystosowałby do nowej rzeczywistości ruiny pozostawione przez pierwszego Balcerowicza".

– Myślę, że wypowiedź prezydenta należy traktować metaforycznie. "500 ludzi" to chyba wyraz poglądu, że w gospodarce potrzebne są bardziej energiczne przekształcenia – głównie własnościowe. Również pojęcie "ruin" interpretowałbym jako przenośnię. Chodzi tu zapewne o skutki twardego wymagan w obliczu przedsiębiorstw...

– Z pewnością jednak trudno uznać za metafory i przenośnię ciężkie zarzuty, sformułowane pod pana adresem ze strony wszystkich niemal ugrupowań biorących udział w kampanii wyborczej. Można nawet przyjąć, że wicepremier Balcerowicz rzucony został na pozarcie sfrustrowanemu elektoratowi.

– Po pierwsze – to nie były ataki ze wszystkich stron. Jest oczywiście, że tak trudne reformy jakie dokonują się w Polsce, nie mogą być popularne. Racjonalna ich ocena przychodzi dopiero później i zazwyczaj różni się od tych, dokonywanych na gorąco.

Co zaś dotyczy treści haseł z kampanii wyborczej, to dominowało w nich myślenie życzeniowe. Dość łatwo formułować pożądaną rolę w rodzaju – wyjść z recesji, nie tracić jednocześnie stabilizacji finansowej, a równocześnie podnieść poziom życia robotników i chłopów. Rzecz jednak nie w najbardziej nawet szlachetnych zamiarach, ale w sposobach ich realizacji. Tych drugich wyraźnie brakowało.

– Co w owym koncercie życzeń było – pana zdaniem – najbardziej demagogiczne?

– Przede wszystkim nie jest możliwy skokowy wzrost produkcji. Drukowanie pieniędzy, aby "ożywić popyt i koniunkturę" – jak to określano – musiałoby doprowadzić do podniesienia poziomu cen i nakreślenia inflacyjnej spirali. Nie spowodowałoby to żadnych trwałych skutków w dziedzinie wzrostu produkcji.

Drugie z często powtarzanych zadań dotyczyło wzięcia pod ochronę przedsiębiorstw państwowych. Lekcje wyreczania przedsiębiorstw przez państwo w walce o byt przerabialiśmy przez ponad czterdzieści lat, ale – widocznie – nie wszyscy wyciągnęli z niej wnioski. Twierdzenie, że przemysł państwowy jest ofiarą przemian, w związku z czym trzeba mu pomóc, prowadzi w efekcie do pogorszenia sposobu działania tych przedsiębiorstw. Oznacza to pochwałę tego, co kiedyś nazywano, "miekkim

ograniczeniem budżetowym" – czyli takiej sytuacji, że przedsiębiorstwo i ludzie nim kierujący nie muszą dążyć do racjonalizacji poczynan, bo ostatecznie mogą liczyć na ulgę z "góry".

Po trzecie wreszcie, postulowano ochronę przed konkurencją zagraniczną, co często nazywano "ochroną narodowych interesów". A przecież jednocześnie krytykuje się brzydkie, rodzime monopole...

– Jednym słowem, doszło do połączenia kielbasy wyborczej z ekonomiczną ignorancją?

– Nie w każdym przypadku. Jeśli jednak obiecywano szybka poprawę sytuacji, to w grę wchodziło przynajmniej jedno z dwojga złego.

– Stefan Kisielewski mawiał, że nie ma poglądów politycznych, a wyłącznie ekonomiczne. Może pan to samo powiedzieć o sobie?

– Decyzje w polityce gospodarczej są polityczne – w tym sensie, że dotyczą interesów grupowych i tych sił politycznych, które próbują je reprezentować. Drugi wymiar politycznego charakteru decyzji ekonomicznych dotyczy wizji systemu gospodarczego. Nie chodzi przy tym o ogólne rozróżnienie na socjalizm i kapitalizm, bo prawie każdy opowiada się za tym drugim. Chodzi o konkrety – w jakim tempie ma przebiegać prywatyzacja, jaka silna ma być konkurencja w gospodarce, jak silny ma być pieniądź. Wbrew pozorom są to zagadnienia z gruntu polityczne.

– O konkrety postaral się również w swojej prognozie na IV kwartał br. i rok przyszły Centralny Urząd Planowania: dalszy spadek produkcji, spadek nakładów inwestycyjnych, regres w budownictwie, ujemne saldo handlu zagranicznego (do 2,8 mld USD), 3,5 mln bezrobotnych, skok inflacji...

– Prognozę CUP traktować należy jako ostrzeżenie; wiele zależy od układu politycznego i postawy rządzących. Nie można także np. liczyć, że nagle znowu zaczniemy sprzedawać nasze maszyny na Wschód. Nie ma na to najmniejszych szans, więc kłopoty naszych przedsiębiorstw pozostaną niezmiennie dopoty, dopóki one same nie zechcą sobie skutecznie pomóc.

Jestem jednak daleki od ulegania determinizmowi zawartemu w niektórych prognozach. Znam wyniki różnych badań koniunktury, np. prowadzonych w poznańskiej AE, niktore z nich wskazuje na pewne objawy poprawy sytuacji.

– Czy nie sądzi pan, że wymowa prognozy ministra Eysmonnta ma swój – bardzo wyraźny – cel polityczny?

– Nie sądzę. Prognoza taka ma jednak wiele cech przepowiedni samospełniającej się. Jeżeli, na przykład, publicznie mówi się o gwałtownym skoku inflacji, to oczywiście reakcja ludzi i przedsiębiorstw może takie skutki spowodować. Niektóre z prognoz sprzed kilku miesięcy na szczęście nie sprawdziły się, np. ta o dwóch miliardach dolarów deficytu w bilansie płatniczym.

– Nie spełniają się natomiast – i nie da się tego rozgrzeszyć tylko kłopotami w handlu z ZSRR – pana przepowiednie,

które wygłaszał pan na początku roku: o niespodziankach, jakie może nam sprawić gospodarka; o oznakach widocznego ożywienia w sferze produkcji.

– Skutki krachu w handlu ze Wschodem były znacznie bardziej dotkliwe niż wstępnie prognozowano. W pewnym sensie poczuwam się do winy, że informacje na ten temat, docierające do zainteresowanych firm, nie były dostatecznie alarmujące. W efekcie przedsiębiorstwa uznały, że jakos to będzie, że rząd musi pomóc.

I druga rzecz – byłbym bardzo rad gdyby proces prywatyzacji przebiegał znacznie szybciej...

– Co jednak z 1200 przedsiębiorstwami, które utraciły zdolność kredytową? Jaki czeka je los w sytuacji, gdy nie mogą brać kredytów z uwagi na wysoką stopę procentową?

– Czekają je albo restrukturyzacja, albo likwidacja. Nie każde przedsiębiorstwo, które – w opinii banku – utraciło zdolność kredytową, musi być skazane na zamknięcie, ale wiele – tak. Organy zalozycielskie były zobowiązane do podejmowania w odpowiednim momencie decyzji o postawieniu upadających firm w stan likwidacji. Nie uczyniły tego, bo zabrakło im konsekwencji i odwagi.

– Bardzo często spotkać się można z opinią: przedsiębiorstwa państwowe to bankrucci lub – w najlepszym razie – potencjalni bankrucci, natomiast udział sektora prywatnego w globalnej produkcji jest wciąż niewielki...

– Niewielki? Ten udział sięga już 22%, i to tylko w przemyśle, a nie w całej gospodarce. Jeżeli brać pod uwagę takie dziedziny, jak handel, usługi czy gastronomia, to trzeba mówić o dominacji sektora prywatnego. W ciągu roku sprywatyzowano parktycznie cały handel wewnętrzny.

Natomiast na kondycje przemysłu mają wpływ trzy czynniki – spadek popytu wewnętrznego, zmiany w strukturze popytu oraz skutki polityki antyinflacyjnej. Mówię w tym momencie o naturalnych konsekwencjach tworzenia systemu rynkowego, pomijając bardzo niekorzystne uwarunkowania zewnętrzne.

– System rynkowy – o czym pan już wspominał – zwłaszcza tu i teraz, pozostaje w ścisłym związku z systemem politycznym. Jakże widzi pan dla siebie w nowej konfiguracji politycznej?

– Klocki zostały rozrzucone; poczekajmy, jak się ułożą. Sprawy osobiste są drugorzędne wobec programu. Natomiast warto wskazać, że w Turcji, gdzie również mają poważne trudności gospodarcze – duża inflacja i deficyt budżetowy – podniesiono larum, gdy zwycięska partia osiągnęła w wyborach tylko 30% głosów. Trzeba tam było pospiesznie montować koalicję dwóch ugrupowań, co zresztą uznano za zagrożenie dla ładów ekonomicznego państwa!

– A w naszej sytuacji jedynym gwarantem ekonomicznego ładów – przynajmniej w oczach Zachodu, co dobitnie wyraził Jan Nowak-Jezioranski – pozostaje pan. – Myślę, że taka personifikacja jest zbyt dużym uproszczeniem. Obserwatory za-

graniczni oceniają przede wszystkim elementy strukturalne, a nie pojedyncze osoby.

– Co nie zmienia faktu, że – z punktu widzenia zachodnich kol biznesu i międzynarodowych instytucji finansowych – właśnie pan powinien "firmować" politykę polskiego rządu. Z pozycji prezesa NBP, ministra stanu ds. ekonomicznych w Belwederze? A może jeszcze z innej?

– Za wcześniej o tym mówić, nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji. Nadto nie zależy ona tylko ode mnie.

– No właśnie. Dzisiejsi, najbardziej prawdopodobni koalicjanci – wylaczywszy KLD – domgali się i domagają "korekt" w "planie Balcerowicza". Jakie "korekty" dopuszcza sam autor tego planu?

– Opowiadam się za kontynuacją zasadniczej linii polityki stabilizacji, za energiczniejszymi działaniami wobec nieefektywnych przedsiębiorstw, za szybszą prywatyzacją, pilnym wprowadzeniem podatku od dochodów osobistych – co wcale nie powinno oznaczać równoczesnej likwidacji mechanizmu kontroli plac. To podstawowe "korekty".

– Czy po pana ewentualnym przejściu na lawę rezerwowych nie będziemy świadkami swego rodzaju oszustwa, a mianowicie, że werbalnie pozostając w zgodzie z hasłami wyborczymi, rządzące ugrupowania realizować będą de facto "plan Balcerowicza" – ten, który wcześniej totalnie oprotestowały?

– Praktyka międzynarodowa wskazuje na dwa możliwe warianty: albo partie rzeczywiście trzymają się swoich obietnic i wtedy często rozczarowują wyborców, albo usiłują się z obietnic wycofać. W rachubę wchodzi tu wariant peruwiański: konkurent znanego piarza Llosy do fotela prezydenta zwyciężył rywala, stosując większą dawkę obietnic i demagogii, a potem z nawiązką realizował jego hasła, wprowadzając drastyczny program antyinflacyjny.

Rozmawiali:

Piotr Andrzejewski
Marek Zieleniewski
"Wprost" nr 46, 17.11.1991



Jaka polityka wschodnia i – szarzej – jaka w ogóle polityka zagraniczna powinna uprawiać Polska? Kierować się na Wschód, czy na Zachód – do Berlina, Bonn lub jeszcze dalej do Paryża, Londynu i Waszyngtonu? A może raczej zwrócić się ku państwom Heksagonale? Albo zamiast z Poludniem, starac się związać z bogatszą Polnocą, z państwami skandynawskimi? Jak postępować, by – poprawiając stosunki z Rosją – nie nadwyrzecz wiatleji nici porozumienia z nowymi sąsiadami – Ukrainą, Litwą i Białorusią? Co czynić, by możliwie najkorzystniej dla nas potoczyły się losy okręgu krolewieckiego?

Na te i wiele innych pytań spróbujemy odpowiedzieć w dyskusji, która inicjuje artykuł Wojciecha Gielżyńskiego.

BUFOR NA TRASIE W-Z

Linie proste, łączące przyladki Matapan w Grecji i North Cape w Norwegii oraz Lizbonę z Magnitogorskiem – krzyżują się koło Białej Podlaskiej, z czego niejeden Polak czarpie otuche. Leżymy w samym środku Europy, a zarazem o wiele bardziej na Zachodzie niż Wschodzie! Nasza centralność daje kolosalne szanse bogacenia się na pośrednictwie i tranzycie, i tylko gapiostwu sąsiadów trzeba przypisać, że nie pchają się do nas z ofertami budowania autostrad.

Sceptycy dostrzegają inny aspekt usytuowania Polski. Otóż, jeśli pominiemy parę mniej ważnych państw, jak Mongolia, Nepal i Andora, jedynie Polska jest wtłoczona między dwa kolosy, których łączna populacja przewyższa naszą dziesięciokrotnie. W dodatku jedno z tych mocarstw całe wieki uprawiało Drag nach Osten, a drugie – sfrustrowane na swym kontynentalnym odludziu – pchało się ku morskim przestworzom, ku Dardanelom i Pacyfikowi, ale przede wszystkim nad Bałtyk. Można oczywiście zakładać, że czasy się zmieniły, że zachłannosc terytorialna straciła sens, że świat się integruje w pokojowym współzyciu – ale będzie to założenie równie hipotetyczne, jak jego odwrotność: że główne wyznaczniki polityki mocarstw pozostają niezmiennie, że każde z nich ustawicznie dąży do poszerzania swoich i kontrolowanych przez siebie terytoriów, że pokojowe współzycie jest chwilowym stanem równowagi, wynikającym z niemożności zdobycia przewagi, dopóki jakiś przełom technologiczny nie wyeliminuje grozy wspólnego samobójstwa nuklearnego.

Zyjac w imadle geopolityki, ale też w aureoli kultury łacinskiej, która określa nasze aspiracje – ogromna większość Polaków (opócz skrajnych epigonów myśli Dmowskiego i sekciarskich komunistów) przyszłość swą widzi w zespoleniu z Zachodem, z konieczności (aczkolwiek niechętnie) godząc się nawet z faktem, że wymaga to dogadania się z Ni-

emcami. Lepszy wariant nie istnieje. EWG pomoże nam wybrnąć z polskiej biedy, a NATO zagwarantuje nam spokojny sen.

Pech, że nasze pozostanie nie jest odwzajemniane z identyczną namietnością. Nie jesteśmy partnerami ponętymi; nasz rynek jest płytki, surowce mało atrakcyjne, siła robocza wprawdzie tania – ale droższa niż w Azji i bardziej rozpaskudzona. Straszmy Europe antysemityzmem, szerzej – ksenofobią; nam się wszystko należy, "bosmy" wycierpieli, ale przynigdy nie zgodzimy się na azyl u nas dla Rosjan i Rumunów! Co gorsza w obiegowych na Zachodzie pojeciach nie tylko "po Jalcie", ale już "po Wiedniu" (1815) byliśmy strefą wpływów Rosji, jej strategicznym przedpolem; radykalna zmiana tej konfiguracji doprowadziła (myśli wielu) do Drugiej Wojny – a obecnie nadal obciążona jest ryzykiem przeciwdziałania ZSRR – bądż czegoś, co po nim pozostanie.

Tutaj z poziomu kawiarnianych stereotypów wznosimy się w sferę gabinetowych gier i symulacji strategicznych.

Oczywiście Polska musi być niepodległa i związana z Zachodem, lecz czy konieczne paktem obronnym? – zadaje się pytanie we wpływowym kolach "atlantyckich". Przecież dla NATO wycofanie wojsk i baz sowieckich za Bug (co przecież następuje) już jest walnym zwycięstwem, natomiast dokooptowanie don Polski byłoby – z punktu widzenia równowagi sił – bez istotnego znaczenia. Sojusz atlantycki nie ma założen ofensywnych, więc terytorium Polski nie przedstawi wartości jako teren potencjalnej koncentracji wojsk do ataku; nadzwyczaj cenne jest natomiast jako "szara strefa" czy też bufor między systemami militarnymi Zachodu i Wschodu (a cos przecież na Wschodzie, po zaniku komunizmu z bojowej gotowości pozostanie).

Od paru lat w zachodnich czasopismach pojawiały się – w roli balonów próbnych – mapy Europy, na których Polsce przypisywano, z grubsza biorąc, rolę neutralnej między: podobnie Czecho-Słowacji i Wegrom, które są jednak w strategicznym sensie państwami marginalnymi, bo nie leżą na "kierunku głównym". Wartość owej między znacznie podnosi rzadko u nas zauważana okoliczność, że ... nasze koleje jęzdzą po wezwszych torach niż sowieckie. Gdyby na wschodzie odżył duch krucjaty, czego przecież wykluczyć nie można, te wezsze szyny zasadniczo by zredukowały nasze ofensywy ku Atlantykowi, ponieważ jej wyjściowa podstawa jest teraz (scislej: będzie) za Bugiem. A gdy maleje szansa wygranej, to i groźba wojny ulega redukcji, bo nikt nie zaryzykuje bez wysokiego prawdopodobieństwa triumfu. Nadto zza Buga do kanału La Manche jest prawie cztery razy dalej niż zza Laby. Polska, będąc "dziurą", i tak jest zatem strategicznym atutem NATO, wcale don nie należac.

Z KRAJU

Pentagon oraz główna kwatera NATO dały nam jasno, i nieraz, do zrozumienia, nie możemy liczyć na gwarancje bezpieczeństwa. Ale to nie powód, by wpadać w fatalizm. Metoda małych kroków ("finezji" – jak woli mówić min. Skubiszewski) można już teraz przybliżyć Polskę do bloku atlantyckiego, np. przez szkolenie tam oficerów, kontakty sztabowe, dostawy nowoczesnego sprzętu – jeśli będa środki. Znacznie realniejsze jest dopuszczenie nas do EWG w roli państwa stowarzyszonego, czyli do przedszkola integracji.

Nasza dyplomacja, zarówno w wersji "prezydenckiej", jak i MSZ-towskiej, ma spore osiągnięcia. Z błędu zadufania, którego przejawem były antyniemieckie niezręczności w czasie konferencji "2+4", wyszliśmy bez trwałych strat. Mamy traktatowe warunki dobrego sąsiedztwa z Niemcami. Sukcesem było "otwarcie amerykańskie" prezydenta; senat USA niespodziewanie poszedł dalej nawet w obietnicy baczenia na bezpieczeństwo Polski (choć bez formalnych gwarancji) niż to ujęto w deklaracji dwustronnej. Zawija się, jeszcze mglista, konstelacja Paryż-Bonn-Warszawa, która może nam torować drogę do różnych organizmów europejskich skuteczniej niż sentymentalny pomysł trójkąta Paryż-Londyn-Warszawa, zainicjowany w roku ubiegłym. Dobre kontakty mamy z Wielką Brytanią i Włochami, a ostatnio też z młoda, lecz cenna Holandią, która dynamicznie przewodzi EWG.

Ryzykancka, podyktowana intuicją wypowiedź prezydenta w Knessecie ostudziła oskarżenia o "polski antysemityzm". Finansowa kropelka dla naszej gospodarki jest wprowadzić dawkowaną w rozmiarach niewspolmiernie małych do stanu jej anemii – za to "oddluzenie" przyznano nam chójniej niż można było oczekiwać (co notabene wzbudziło Japonczyków i rozwścieczyło biedniejsze kraje Trzeciego Świata). Zniesienie zaś wszystkich barier wizowych jest czymś więcej niż symbolicznym gestem przyjęcia nas do Europy; daje wymierne korzyści milionom obywateli, inicjuje proces psychicznego "docierania się" Polaków z narodami Zachodu, bez czego o integracji nie ma co marzyć.

Sumując, polityka Polski na kierunku zachodnim odnosi sukcesy wprowadzić nie na miarę naszych marzeń, lecz adekwatnie do realiów naszego kraju, które nikomu nie imponują. A chyba nawet większe, niż należałoby oczekiwać po rzeczowej kalkulacji, gdyż mit Solidarności – pogromczyńi komunizmu – nadal w świecie budzi sympatie, choć w Polsce przedwcześnie powędrował do lamusa.

Mniej zachęcająco rysują się dokonania polskiej dyplomacji na kierunku wschodnim. Ale gdyby nasza po-

lityka sterował sam Talleyrand czy nawet Józef Beck, to też nie wskoraby zbyt wiele. Jakie obrac reguły działania wobec znajdującego się w stanie nieokreśloności partnera – nie wie nikt na świecie; zwłaszcza, że ow kontrpartner jest podrażniony, bo nie wie, czym będzie, ku czemu powinien zmierzać, a do tego jest zdolny ze strachu przed nawrotem "staroego". Jak do niego podejść?

Podnoszone są zarzuty, że zanim zaczęła się agonia systemu sowieckiego, trzeba było wynegocjować wycofania Armii Czerwonej, równoprawny traktat o dobrym sąsiedztwie oraz korzystne układy handlowe i płatnicze. Bessewierskich publicystów i polityków, którzy na tym tle podnoszą teraz larum, min. Skubiszewski potraktował z rzadka – jak na jego profesorski styl – kasliwoscia, podczas konferencji prasowej 5 września br. twierdzić, że nie wiedza, co mówią, skoro nie dostrzegli "polityki dwupoziomowej" wobec moskiewskiego centrum i emancypujących się republik, która Polska podjęła wcześniej niż jakkolwiek inne państwo, nie bojąc się ryzyka.

Mozna by odpowiedzieć ministrowi, że jego ubiegłoroczna podróż do Moskwy, Kijowa i Minska, reklamowana jako wielkie osiągnięcie, była sukcesem polowicznym; że błędem było odwołanie wizyty w Wilnie, a potem spóźnienie Polski w nawiązywaniu z Litwą stosunków dyplomatycznych, skoro my właśnie – tu przynajmniej – nie powinniśmy czekać na innych. "Timing" – działanie w optymalnym czasie – to kardynalny obowiązek dyplomacji. Także reakcje Polski na pucz w ZSRR nie były ani szybkie, ani klarowne, ani zdecydowane, choć to obciąża raczej Belweder niż MSZ. Z drugiej strony nie można wymagać od ministra oraz od prezydenta, by osiągnęli cele nieosiągalne. Z niezliczonych definicji pojęcia "polityki" najtrafniejsza brzmi: jest to sztuka realizacji tego, co możliwe (można by dorzucić bez nadmiernego ryzyka). Stosując takie kryteria, większość zarzutów wobec polskiej polityki wschodniej zdaje się wynikać z braku poczucia miary. Wszak cokolwiek byśmy przedsięwzięli, i tak osiągnęlibyśmy znacznie mniej – a na bieg wydarzeń w ZSRR wpływu to nie wywrze. Choć jest też prawda, że w sytuacjach wyjątkowych (jak casus Litwy i puczu Janajewa) postawa etyczna, pryncypialna, bywa niekiedy konieczna – i nawet korzystniejsza niż buchalteryjny realizm. Są gesty, które zapisuje historia. A nawet dyskultuje polityka.

Wcześniej czy później ziszcą się na wschód od Polski jeden ze scenariuszy, jakie można przewidzieć – lub coś nieprzewidywalnego. Dlatego lepiej trzymać się polityki powściągliwej i wieloariantowej. Może rozkwitnie tam demokracja, która pozwoli włączyć Rosję i inne republiki do Europy. Maje ta demokracja nadadć nową dynamikę rosyjskiej ekspansywności, tyle że bez marksistowskiej propagatki. Może demokracja wyrodzić się w populizm, a ten w

agresywny szowinizm wieloruski. Może się były ZSRR rozpaść całkowicie, pograć w wojnie domowej, a wtedy komus może zaswitać, że taka wojna najlepiej rozładować wskazaniem na "odwiecznego wroga" za granicą... Nic nie jest pewne, otwarte są wszystkie opcje, prócz jednej: na pewno nie będzie tak, jak do tej pory.

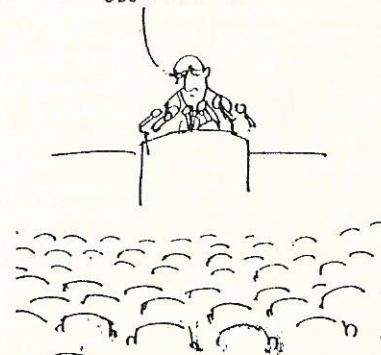
Dlatego nasza polityka zagraniczna nie powinna stawiać na jedną kartę ani ulegać niekontrolowanej fantazji. Zresztą, nawet re-spektowanie takich prawideł nie stworzy nam pełnej asekuracji. Nikt nie może czuć się bezpiecznym w pobliżu dymiacego wulkanu.

Skoro Zachód bezpieczeństwa nam nie zapewni, a ze strony Wschodu nie wiadomo, co nas spotka – czy nie należy myśleć o rezerwach wariantach? Oczywiście, trzeba; i to się robi. Stawiamy na KBWE, choć ciało to jest tylko klubem dyskusyjnym. Zaczyna się wylaniać "trojkat wyszehradzki". Dostaliśmy się do Heksagonale. Sa nadzieje na jakiś (mityczny nieco) pakt bałtycki. To jednak polsrodki; sąsiedzi nie są skorzy do zbytnej z Polska zarzylosci. Nie tylko dlatego zresztą, że mało mamy do zaoferowania w sferze materii, a zarazem jesteśmy państwem zbyt dużym w stosunku do nich, przeto podejrzewamy o chęć uzyskania prymatu na "Miedzymorzu"; przede wszystkim dlatego, że Polska leży w najbardziej newralgicznym punkcie Europy i każdy ewentualny konflikt musi się na niej skupić. Partnerstwo z nami – to interes niepewny.

Nic nam nie zastąpi uczestnictwa w sojuszu zachodnim; ono musi być horyzontem naszej polityki. Ale zanim do celu dopłyniemy (jesli się to okaże realne), musimy przywyknąć do życia na wulkanie. Niektórzy nie wytrzymają psychicznie, chcą uciekać, gdzie oczy poniosą. Od dawna zresztą. Jesli wierzyć miediewistom, nasi praociowie w VI czy VII wieku też masowo emigrowali w strony bezpieczniejsze, cieplejsze, zaciszne – hen za Karpaty. Ci z Wielkopolski dali początek Serbii, a ci z Malopolski – Chorwacji...

Wojciech Gielziński
WPROST nr 40 6 października 1991

JESTEM kochającym
CZŁOWIEKIEM.



A. SARKA

Czy Polacy sa leniwi?

PARALIZ SZARYCH KOMOREK

Czy Polacy sa leniwi? Najczesciej probuje sie odpowiadac na to pytanie przez stereotypowe porownania. Porownanie z Japonczykami czy Niemcami jako jednostkami rysuje sie dla nas zwykle kiepsko, juz jednak - powiedzmy - w stosunku do Amerykanow czy Australijczykow sprawa nie przedstawia sie az tak beznadziejnie, a w porownaniu z Arabami czy Murzynami - wypadamy nawet zupełnie dobrze. Takie stereotypowe porownania z "typowymi" przedstawicielami roznych narodow i ras nie maja jednak wiekszego sensu.

Lenistwo, a wiec "niechęć do pracy, opieszalosc, gnusnosc, ociezalosc, prozniactwo" wydaja sie na pierwszy rzut oka niezmienna cecha czy dyspozycja psychologiczna jednostki, przejawiajaca sie nieuchronnie w toku jej wszelkich indywidualnych dzialan. Tymczasem tak podobno leniwi we własnym kraju rodacy na "saksach" pracuja zwykle ciezej niz saksownicy tubylcy, a fachowcy roznych branż po przespaniu pierwszej zmiany na państwowej posiadzie naprawde ciezko pracuja dorabiajac popołudniami. Indywidualne lenistwo daje sie, jak widac - o ile tylko istnieje odpowiedni bodzce - dosc latwo przezwyciezyc. Rzecz nie w tym zatem, czy Polacy jako jednostki sa leniwi, ale w tym, czy polskie przedsiębiorstwa i instytucje, funkcjonujace tu i teraz w Polsce, w polskiej tradycji, kulturze i systemie wartosci, stwarzaja warunki do tego, by jednostki sklonne byly dobrze pracowac, czy wręcz przeciwnie - specjalnie sie nie przemeczac.

Warto zwrocic uwage, ze etos dobrej pracy jako przeciwienstwo lenistwa opierac sie moze badz na traktowaniu pracy jako celu, czy wartosci samej w sobie, badz tez na uznaniu, ze rzetelna praca jest skutecznym srodkiem do uzyskania innych celow - np. zamoznosc. Z praca jako wartoscia badz skutecznym srodkiem bywalo w naszym kraju roznie.

W polskiej tradycji kulturowej

praca rzadko traktowana byla jako cel sam w sobie,

- jako cos, co powinno byc dla czlowieka przywilejem, zrodlem poczucia własnej wartosci oraz społecznego szacunku i prestizu, okazja do realizowania zamiarzen tworczych. Wymienic tu mozna rozmaite przyczyny tego stanu rzeczy. Szlachecka tradycja - odziedziczona czesciowo przez inteligencje - w mysl których fakt niepracowania (badz pracowania tylko w niektórych dziedzinach) byl swiadcstwem wysokiej pozycji społecznej. Slabosc miast i mieszczanstwa.

Wplyw etyki katolickiej, która - w przeciwienstwie do protestantyzmu - zdawala sie (przynajmniej do encykliki "Laborem exercens") wartosciowac wyzej rezultat pracy niz sam proces pracy. Przede wszystkim zas uotosamienie pracy (zwlaszcza ciezkiej, mozolnej pracy) z praca chlopa, dla którego byla to koniecznosc zyciowa, a nie wartosc sama przez sie. Dobra praca byla wiec w polskiej kulturze raczej srodkiem niz celem, dopoki jednak byla srodkiem skutecznym, wszystko bylo w porzadku.

Jednak ogolny etos pracy w niewielkim tylko stopniu zalezy od tych wszystkich historycznych tradycji, jest zas przede wszystkim przystosowawcza forma reakcji na funkcjonowanie wprowadzonego w 1945r. "realno-socjalistycznego" systemu społeczno-gospodarczego, reakcja na place za sam fakt pojawienia sie w pracy, nieracjonalne kryteria oceny indywidualnej efektywnosci, nieuzasadnione przywileje, niskie i malo zroznicowane place. Przez wiele lat dobra praca w polskiej gospodarce nie byla ani wartoscia sama przez sie, ani tez nie pelnila funkcji srodka pozwalajacego zaspokoic inne cele.

Istotne jest przy tym, ze problem dobrej lub zlej wydajnosci pracy ma charakter nie indywidualny, a systemowy i opiera sie nie na przebiegu, ale raczej na koncowym rezultacie aktu pracy. Oczywiscie, dobra praca indywidualna jest koniecznym warunkiem wydajnosci systemowej, ale nie jest bynajmniej jej warunkiem wystarczajacym. Kazdy chyba potrafi przytoczyc przyklady z polskiej państwowej gospodarki, kiedy to jednostki staraly sie dobrze pracowac i wkladaly duzo indywidualnego wysilku, ale niedowlad systemu organizacji pracy niweczyl ten wysilek. Wystepuje tez wiele sytuacji, w których ciezki indywidualny wysilek jednostek nie przyczynie sie w istocie do stworzenia niczego nowego, jest jedynie gra o sumie zerowej, dzialalnosc czysto redystrybucyjna, dokonywanie podzialu tego, co inni stworzyli, i zagarniecie jak największej jego czastki dla siebie. Jednostki wtedy ciezko pracuja, ale globalny efekt koncowy jest zadem. A drugiej strony, przy dobrej organizacji pracy jednostka wcale nie musi wyrzucac sobie rekawow, czy szalenczymi zrywami nadrabiac zaleglosci, pracowac moze statecznie i solidnie. Obserwujac prace na zachodnich budowach widac, ze nikt sie tam nie spieszy, ale mury jakos predko pna sie w gore.

W społeczeństwie polskim funkcjonuje przy tym dosc charakterystyczna koncepcja pracowitosci i dobrej pracy - polegac one maja na posluszny i odpowiedzialnym wypełnianiu obowiazkow przez rutynowe dzialania i podporzadkowanie sie dyscyplinie. Jest to przede wszystkim

wizja ciezkiej, znojnej pracy fizycznej, o latwo widocznych, namacalnych efektach, nie wymagajacej intelektu-

alnej inicjatywy,

przedsiębiorczosci czy pomyslowosci. To niedoceniecie pracy umyslowej i jej efektow ma rozne przyczyny: od olbrzymiego wyniszczenia tradycyjnej inteligencji i kojarzenia pracy umyslowej z nieproduktywnymi urzednikami i ogromnym rozrostem biurokracji, az do oficjalnej ideologii gloszacej kult materialnej pracy produkcyjnej. Zjawisko to widoczne jest i w strukturze plac i w swiadomosci społecznej. Relacje zarobkow robotnikow i inzynierow (nie mowiac juz o zarobkach nauczycieli) w sektorze państwowym odpowiada tez relacjom cen za prywatne uslugi: otynkowanie sciany jest wciaz lepiej platne niz np. prywatne korepetycje, czy pisanie programow komputerowych. Pojecie własnosci wytworow intelektualnych jest takze dosc slabo ugruntowane (kradziez samochodu czy roweru jest w społecznej swiadomosci przestępstwem, piractwo wideo czy komputerowe raczej nie). Nie doceniajac pracy umyslowo-menedzerskiej nie potrafilismy tez wykszaltac odpowiednich kadr. Czlowiek leniwy kojarzy sie nam przede wszystkim z nierzetelnoscia czy powolnoscia w rutynowej pracy fizycznej, badz prostej pracy urzedniczej, a zwlaszcza z ciaglymi przerwami "na papieroska" czy "herbatke". Tymczasem podstawowym problemem w polskim społeczeństwie i gospodarce wydaje sie byc

nieumiejtnosc wykonywania pracy umyslowej na poziomie kierowniczym.

Leniwy pracownik fizyczny to jedno zlo, nieudolny kierownik czy menadzer to drugie zlo (i chyba znacznie wieksze). Powolnosc przeplywu informacji, nieustanne gadulstwo, niezliczona ilosc (mniej lub bardziej "specjalnych") komisji i narad, brak umiejetnosci szybkiego podejmowania decyzji i przelozenia slow na konkretne dzialanie swiadczy o swoistym "lenistwie umyslowym", majacym jednak takze bardziej systemowo-organizacyjny niz indywidualno-psychologiczny charakter. Dodajmy na zakonczenie, ze traktowanie wydajnosci pracy jako zjawiska systemowego ma swoj aspekt optymistyczny. Zalożmy, ze zgadzamy sie ze znana teza prof. Wacława Wilczyńskiego, ze Polacy powinni pracowac dwa razy wydajniej za to samo wynagrodzenie. Takie zwiekszenie wydajnosci pracy tylko w niewielkim stopniu wymagac bedzie zwiekszenia indywidualnego wysilku szeregowych pracownikow, a w znacznie wiekszym - lepszej organizacji pracy i sprawniejszym menadzerow.

Marek Ziolkowski
WPROST nr 41, 13.10.1991

Prof. Marek Ziolkowski jest dyrektorem Instytutu Socjologii UAM w Poznaniu.

Z KRAJU

Z ambasadorem Niemiec w Polsce Guenterem KNACKSTEDTEM, rozmawia Marek RAPACKI

NADAZYC ZA HISTORIA

– Panie Ambasadorko, wiemy, że utrwalona przez pokolenia świadomość społeczna i historyczna, a także głęboko zakorzenione uprzedzenia są czynnikiem zmieniającym się wolno, nie dostosowującym się elastycznie do szybkiego nurtu historii. Ta myśl powracała w dyskusjach, w niedawnym okresie ratyfikacji traktatów polsko-niemieckich. Wiele troski wzbudza rezydowa nacjonalistów.

– Moge się tylko z tym zgodzić. Uważamy, że naszym wspólnym zadaniem jest silniejsze kształtowanie świadomości historycznej. Zarówno w Polsce, jak i w Niemczech Wschodnich, a więc na terenach, na których przez tyle lat panował komunizm, przetrwały – niejako w zamrozeniu – postawy nacjonalistyczne, które teraz odzyskują. Musimy im przeciwstawić, jako przykład, społeczeństwo tolerancyjne, jakie stworzyliśmy w Europie Zachodniej. Badania opinii publicznej wykazują, że znaczna część narodu niemieckiego pragnie pojednania z Polską. Zawsze, gdy rozmawiam z moimi przyjaciółmi w Niemczech słysze, że zadanie, jakie mi przypadło – szukać pojednania z Polakami – jest zadaniem wspaniałym.

– Panie Ambasadorko, przy całym uznaniu zmian, jakie zaszły w demokratycznym społeczeństwie niemieckim, chciałbym jednak zwrócić uwagę, że obawy wobec przeżytków nacjonalistycznych w Niemczech są pochodzenia nie tylko polskiego. Ostatnio odżyły w związku z ekscesami młodych ekstremistów niemieckich przeciwko cudzoziemcom.

– W te ekscesy były zaangażowane grupki liczące łącznie nie więcej niż kilka tysięcy osób, pochodzących głównie z NRD.

– "Niemrawe politycznie i zniewiesciale w latach 50. Niemcy stały się wielkim patronem obecnej Europy. Czy należy się z tej sytuacji cieszyć, czy się jej bać? Czy Niemcy zechcą być takim narodem jak inne?". Lub jeszcze: "Terror skrajnej prawicy jest dziś bardziej tolerowany w Niemczech niż kiedyś terror skrajnie lewicowy". To tylko niektóre z podobnych sformułowań, jakie w obliczu wspomnianych ekscesów pojawiły się w prasie francuskiej.

– Moge na to tylko tak odpowiedzieć, że świadomość Francuzów musi się oswoić z faktem, iż Niemcy stały się krajem większym. Przy czym muszę zaznaczyć, że moja żona pochodzi z Luksemburga – kraju kultury europejskiej skłogaconego zarówno z Niemcami, jak z Francją – i że właśnie spędziłem miesiąc we Francji, więc wiem o czym mówię. I jestem przekonany, że dzięki długoletniemu

partnerstwu niemiecko-francuskiemu, które otworzyło wiele różnych linii porozumienia, praktycznie między całym społeczeństwami – Francuzi na pewno dostrzegają, że większość Niemców wcale nie są niebezpiecznymi Niemcami. Niedawne utworzenie niemiecko-francuskiego korpusu wojskowego jest jednym z dowodów na to i jeszcze bardziej poszerza przestrzeń współpracy.

– Rozwijane, sterowane według racjonalnych założeń, o których mówi Pan Ambasadorko, procesy zderzają się właśnie z rosnącą falą nacjonalizmów. Najlepiej widac to w Jugosławii i w reakcjach Europy na to co się tam dzieje.

– Rzeczywiście, zjawiska towarzyszące przemianom w Europie Wschodniej mogą przyczynić się do nasilenia uczuć narodowych czy wręcz nacjonalistycznych na całym kontynencie. Jednym ze sposobów przeciwdziałania takiemu obrotowi rzeczy jest szybkie wprowadzenie krajów postkomunistycznych, przede wszystkim Polski, Czechosłowacji i Węgier na orbitę Wspólnoty Europejskiej. Przy czym zdaje sobie sprawę, że dla narodów, które tak niedawno odzyskały niepodległość, podporządkowanie się regułom Europy może być trudne.

– Ekscesy prawicowej młodzieży w Niemczech zbiegły się w czasie z eksplozją nacjonalizmów na Wschodzie. Oczywiście, były dziełem nielicznych grup. Własnie jednak dlatego znamienne jest, że wywołały niepokój nie tylko u nas, ale Francuzów – drugich wielkich sąsiadów Pana kraju, o których pojednaniu z Niemcami słyszy się jako o wzorcowym. A przecież Polacy mają w stosunku do Niemców szczególne urazy i szczególne doświadczenia, nawet w porównaniu z Francuzami.

– W ciągu prawie 50 lat po militarnej i moralnej klęsce rozwijaliśmy świadomość współzycia z narodami Zachodu. Niemcy dostrzegli też, że dobrobyt prowadzi do lepszego poznania i do zaniku agresji. Musimy tutaj odróżnić sytuację Niemców wschodnich, którzy żyli w innym systemie. Ale jestem przekonany, że w ciągu kilku lat przeprowadzimy naszych rodaków z nowych landów do tego społeczeństwa niemieckiego, które mimo wszystko jest w znacznej większości tolerancyjne.

W Polsce wiele obaw wynika z historii, pozwolę sobie na pewien przykład. Kiedy premier rządu krajowego Brandenburgii zaproponował, żeby wspólnie zająć się Odrą po obu jej stronach, wywołało to wiele obaw po stronie polskiej, mimo że Stolpe miał jak najlepsze zamiary. Potrzeba wiele cierpliwości, żeby was przekonać i my, Niemcy, na co dzień z wami obcujący, rozumiemy to i musimy obudzić wśród naszych rodaków tę świadomość, że trzeba czasu.

Ale jestem pewien, że po stowarzyszeniu Polski ze wspólnotą europejską i potem, gdy kraj ten stanie się pełnoprawnym członkiem tej Wspólnoty, Polacy przekrocza pewien próg, przyzwyczajają się, że w wielu sprawach istnienie granic nie ma, doprawdy, specjalnego znaczenia. My na to patrzymy nie tylko w kontekście Niemcy – Polska, ale także Europa – Polska. Przez

dwa lata mojego pobytu w Polsce widzę zresztą, że wiele się tu już zmieniło, przede wszystkim w świadomości.

– Obawy o przyszłość współzycia polsko-niemieckiego żywe są także po stronie niemieckiej. Surowy krytyk społeczeństwa RFN, wielki pisarz Guenter Grass obawia się między innymi psychicznych skutków ogromnej przewagi Waszego bogactwa, organizacji, techniki.

– Długo kiedyś rozmawiałem z Grassem i uważam, że widzi te problemy zbyt czarno. Winna temu jest zapewne jego... babcia, Kaszubka.

– Ale to znaczy, że Grass ma w sobie coś z Polaka, więc lepiej rozumie nasze obawy i uprzedzenia. I lepiej czuje niemieckie uprzedzenia wobec Polaków. Jest np. taki stereotyp jak "polnische Wirtschaft" (polskie gospodarowanie).

– Stereotypy istnieją wszędzie. Także w stosunkach francusko-niemieckich, ale rzeczywistość rozlicza się z tymi stereotypami. Minister rolnictwa Bawarii powiedział mi, że polscy rolnicy, którzy zatrudniani są w Bawarii, pracują trzy razy wydajniej od niemieckich. A kultura polska jest w tej chwili w o wiele lepszej formie niż niemiecka. Nasza kultura nie uporała się jeszcze ze zjednoczeniem, artyści niemieccy zamilkli.

– Są to wartości dostępne raczej węższemu niż szerszemu warstwowi społeczeństwa. Chodzi mi o powszechną, zbiorową podświadomość, w której takie stereotypy będą trudniejsze do wytepienia, zwłaszcza w warunkach tyłu obecnych przewag niemieckich, które sprzyjają pewności siebie i raczej nie usposabiają do wczuwania się w rozterki drugiej strony.

– Nie można zrobić niczego innego niż tylko doprowadzić do tego, żeby dobrobyt pojawił się także w Polsce. Przy każdej okazji staramy się wyjaśnić narodom, na które możemy wywierać wpływ, robia to w Niemczech tacy politycy jak Kohl, Weizsäcker, Genscher, Eng-holm. Pojednanie niemiecko-polskie jest po pojednaniu francusko-niemieckim najważniejszym celem polityki zagranicznej Niemiec. Ta sprawa szczególnie leży na sercu Helmutowi Kohlowi.

– To prawda, ale nawet takie nieliczne głosy przeciwne porozumieniu z Polską, jakie odezwały się w trakcie niedawnych debat w Bundestagu, wywołują tutaj reakcje uczuleniowe. Grupa posłów, która w koncowej fazie procesu ratyfikacyjnego w Sejmie posunęła się niemal do zakwestionowania sensowności traktatów z polskiego punktu widzenia, niewątpliwie odwoływała się do rzeczywistych nastrojów, głównie starszej części społeczeństwa.

– Najwyraźniej sady się, że za pomocą takich działań można tutaj będzie wygrać wybory, u nas się je przegrywa.

– Wśród polskich urzadzonych jest także taki, który nazywa się Rapailo albo 23 sierpnia 1939. Ten uraz odżywa się np. na widok niemieckiej "gorbymanii", silnie odezwał się po spotkaniu Szewardnadze-Genscher w Brześciu, latem ub. roku. Zawazył zresztą na przebiegu spraw polsko-niemieckich i polsko-radzieckich w całym 1990 r.

– Ostrzegam przed myśleniem w kategoriach lat międzywojennych. Wypracowaliśmy po wojnie politykę zgodną z współczesnymi regulami myślenia politycznego na Zachodzie, wykluczającymi zjawienie się jednego państwa z drugim przeciw trzeciemu. Jest to polityka odpowiedzialności wobec sąsiadów, która zakłada, m.in. konieczność stopniowego przekonania Polaków, że jesteśmy odpowiedzialni, więc żadne nasze układy z ZSSR przeciw Polsce po prostu nie wchodzi w grę.

– Słyszysz się u nas pretensje, że do tej odpowiedzialności nie bardzo poczuwają się prywatni inwestorzy niemieccy,

– Kapitalista jest kapitalista, a nie nacjonalista. Kieruje się przesłankami ekonomicznymi. Wszystko jedno z jakiego kraju przybywa. Chce po prostu robić interesy. Kapitał przepływa więc tam, gdzie są odpowiednie warunki. Gdzie stabilizacja legislacyjna, stała, a nie zmieniająca się z dnia na dzień formuły prawne. Wiemy, że w Polsce dąży się do tego, aby stworzyć te stabilne podstawy, ale na razie Polska znajduje się nieco z tyłu. Na Węgrzech np.

kapitał zachodni ma dużo lepszą sytuację, nie ma tam praktycznie żadnych przeszkód. Jeśli inwestor napotyka trudności, które zwiększają jego ryzyko, lokuje kapitał gdzieś indziej. Trzeba pracować nad pokonywaniem tych trudności i wyjaśnianiem skomplikowanej sytuacji Polski. Sam prowadziłem wiele wykładów dla niemieckich przedsiębiorców, starając się przekonać i zachęcić do inwestowania w Polskę.

– Tymczasem rzeczywistość jest na tyle skomplikowana, że obok wspomnianych pretensji do Niemców, że nie inwestują, nie brak u nas głosów ostrzegających przed "wyprzedażą kraju". W Łodzi ludzie boją się niemieckiego kapitału. Jak Pan Ambasador uspokoiłby pracowników Zakładów Przemysłu Włókiennego im. Andrzeja Struga, które kupiła niemiecka firma włókiennicza "Suedwolle"?

– Kapitalista chce uczynić z kupionej fabryki dobrze prosperującą przedsiębiorstwo. Musi więc przywieźć nowe maszyny, stworzyć nowe rynki zbytu dla swoich towarów. Musi też, niestety, zmniejszyć zatrudnienie, bo zazwyczaj

okazuje się, że w fabryce pracuje za dużo robotników. Oczywiście jest, że robotnicy są z tego niezadowoleni. Ale nie jest to posunięcie antypolskie, to nie jest pogwałcenie godności ludzkiej. To są prawa rynku.

– Obok leków ekonomicznych i w tym jednak przypadku działają pewne stereotypy emocjonalne czy myślowe. Niechcąc do obcego nie tylko wobec Niemców. Odmienne od Francji, której naród tworzył się przez dwa tysiące lat z różnych składników etnicznych, w tradycji obu naszych krajów zaznaczyły się – choć w różny sposób i z różną siłą – tzw. etniczne koncepcje narodu: skłonności do pojmowania go jako wspólnoty etnicznej, opartej na wiezach krwi.

– W przyszłości to nie musi mieć złych skutków. To może dodawać narodom dynamizmu, żywotności. Tylko teraz trzeba przenieść to poczucie wspólnoty na poziom Europy, do wymiaru europejskiego.

"Gazeta Wyborcza" nr 258, 5.11.1991

MIEDZY FIKCJA A DEKLAMACJA

Stefana Kisielewskiego pozegnano słowem tyleż serdecznym, co banalnym. Jego wymowni przyjaciele, nagabywani przez dziennikarzy, musieli – pewnie po raz pierwszy – recytować na temat Kisielewskiego okolicznościowe formułki, bo nie wypadło przytoczyć, jak zazwyczaj, anegdoty z jego udziałem czy zacytować najnowsze powiedzonko. Wszyscy się przyzwyczaili, że Kisielewski przede wszystkim był i tylko część jego obecności była utrwalana na piśmie. Poki był, Kisielewskiego nie trzeba było objaśniać, tłumaczyć czy komentować – Kisielewskim się oddychało. A Kisielewski był "notoryczny", to znaczy stałe ulegał kilku wewnętrznym namiarom, po których bywał z miejsca rozpoznawany, którymi zarządzał pokolenia czytelników i które utrwały go w historii. Teraz gdy go nie ma łatwo je nazwać, łatwiej w anegdotce, jaka była on sam, oddzielić humorystyczną historyjkę od poważnej puenty. Wyluszczał ją ratami w setkach felietonów, ulegając jednej zwłaszcza ulubionej skłonności, która była nalog myślenia.

"Czaszka pracuje, globusik na chodzie"

– tych pochwał sobie nie odmawiał, choć jednocześnie upierał się, że żadnym medrcem nie jest, teorii naukowych nie lubi i stac go tylko na komentarz chłopka roztopka. Jak naiwniak, przyjmował poważnie z najlepszą wiarą deklaracje, że literatura moralnego niepokoju jest nihilistyczna, albo że mieszczańska zapobiegliwość prowadzi do skoltu-nienia. Natychmiast dodawał jednak, że ogromnie mu przykro ale coś się tu nie zgadza, choćby dlatego, że jego samego moralny niepokój właśnie pobudza do działania. A kiedy naiwny Kisielewski wdał się już w analizę cudzych argumentów, przeistaczał się w roztopka w Sokratesa, który bezlitośnie obnażał płytkość obiegowych hasel. Tam, gdzie Slonimski posłużyłby się ironią, Waldorff plomienna



inwektywa, Passent obrazkiem rodzajowym, Kisielewski – wchodzi w rolę prostaczka, zadającego naiwne pytania. "Probie banalu" poddaje ze szczególnym upodobaniem troje negatywnych bohaterów swojej publicystyki – teorie, które chcą być mądrzejsze od życia, narodowa megalomania i typowo polskie fantazyjne teorie dostarczał hurtowo komunizm. To w odruchu obronnym przed nim

Kisielewski – człowiek niofijalny

nauczył się jedynej lojalności, która opłaca się na dłuższą metę. Do sfery fikcji należały czyny produkcyjne, akademie i pochody, do sfery faktów zaś powszechna socjalistyczna nuda, skundlenie ludzi i splaszanie polityki. I z takich właśnie faktów Kisielewski budował swoją prywatną szopkę komunistyczną. W niej uniesmiertelniał zapiekłych ideologów z Zolkiewskim, Borejszą i Kottem, których z czasem własna partia wyparła się z zazenowaniem. Tam pomieszczył nawroconych janczarów komunizmu z Kazimierzem Brandysem i Bienkowskim. Tam wreszcie zasuszył pocziwych nudziarzy w rodzaju Lichniaka. A przy okazji utrwalił powszednią twarz komunizmu – z kształtami mebli, powiedzonkami ulicy i tytułami z pierwszej strony "Trybuny Ludu". Dla świata komunizmu był tym, czym Wiech dla warszawskiej ulicy. Ale jego ambicje nie wyczerpywały się bynajmniej w kronikarstwie czy archiwistyce. Kisielewski rozumiał, że komunizm jest jego

zyciowym wrogiem i polemista, który go stwarza. Dopiero z latami pojawiła się gorzka świadomość, że PRL to w gruncie rzeczy mierny przeciwnik.

Kisielewski tkwił w polemikach i obawiał się nieustannie, że zwiednie z powodu braku przeciwnika, i dlatego jeszcze długo po październiku, wywoływał duchy stalinizmu, dlatego tak zazarcie polemizował z ideologią Powstania Styczniowego. Z radością witał nawet rozsądne ataki na Kościół, przekonując oburzonych duchownych, że właśnie godny przeciwnik pozwala nam mobilizować siły w obronie godnej sprawy. Za to triumfalizm rozleniwia i popycha w kierunku niebezpiecznego samouwielbienia, które było mu z gruntu obce i którego się autentycznie bał.

Drugi przeciwnik, w postaci megalomanii narodowej, objawił dla Kisielewskiego swe słodkie i zdradliwe oblicze w roku 80-tych, kiedy to wielu ideowcom nie starczało przypadków, aby odmienić wyraz "ojczyzna" i kiedy po raz kolejny zwiolowo odrodził się

swojski "kult rebajlow".

Kiedy powszechnie zachlustywano się symboliką bocianiego gniazda, Szopenem i rozkolysanymi łąkami, Kisielewski wskazywał, że patriotyzm, sprowadzony do kultu kiczowatego krajobrazu, jest rodzajem miłości samego siebie. Patriotyzm bowiem – wskazywał – to nie tylko przywiązanie do terenu, w którym się przyszło na świat, ale przede wszystkim przemyślana koncepcja rozwoju ojczyzny, za którą się bierze odpowiedzialność. A Polskę widział jako miejsce wielostronnego pośredniczenia między Wschodem i Zachodem, co miało przyczynić jej zachodniego bogactwa i wschodniej glebi. Występował też wtedy wielokrotnie przeciw tym gościom z Zachodu, którzy, przyjeżdżając nad Wisłę na krótkie wakacje, wpadali w płytki zachwyt nad "krajem kontrastów" i "ojczyzną bohaterów". Zapraszał w takich razach do pomieszczenia tu na dłużej, do odstania swojego w kolejkach, do wytrż-

WSPOMNIENIA

esienia się w autobusach i wypicia swojej miary wódki. Niewielu przekonał, ale niewielu też spotkał takich, którzy wariaci byli przekonania. Szokująco brzmiała dla nich zwłaszcza teza, że "Solidarność" wyrosła z nudy bo właśnie nuda najbardziej doskwierała pod panowaniem komunizmu. Kisiel bardzo szybko zorientował się, że lata osiemdziesiąte założyły

polityce podwójnego nelsona. Walacy się komunizm mamił społeczeństwo hasłami nieprawdopodobnymi aż do śmieszności, opozycja zaś popadała w narodowe deklamatorstwo. Kisiel, coraz gorzej czując się pomiędzy fikcją i deklamacją, wracał do wcześniejszych deklaracji, że nie ma poglądów politycznych, a jedynie gospodarce. Ten pragmatyzm, jak się okazało, najbardziej odpowiadający tzw. duchowi czasów, to był jego ostatni "rzut na tasme". Poklepywano go wyrozumiale

po plecach, gdy pierwszy nazywał kombinatorów i cinkciarzy twórcami gospodarczymi, kiedy chwalił Wilczka i Sekule za spryt, a Rakowskiego za pierwsze kroki na drodze reform. Dopiero "Okragły Stół" zobaczył w nim własnego prekursora, a epoka Balcerowicza, w której niejedyn oficjalnie został przemianowany z cinkciarza na "poważnego" finansiste, doceniła w nim własnego proroka.

Wiesław Kot

"Wprost" 13.10.1991

NASZE PODWORKO

Co kontynent afrykański pocnie bez apartheid'u?

Świat uważa Republiki Południowej Afryki za gniazdo apartheid'u, jedynego po II wojnie światowej systemu zakwalifikowanego przez prawo międzynarodowe jako przestępstwo. Zarówno Afryka jak reszta oświeconego świata uznały apartheid za formę kolonializmu, zaś zmagania ANC za walkę o niepodległość. Taki punkt widzenia był bardzo na rękę głowom państw afrykańskich. Jednogłośnie, przez dwadzieścia osiem lat, na forum Organizacji Jedności Afrykańskiej i w domu, potępiali oni RPA. Wszystkie afrykańskie kraje wolne były od kolonializmu, krzywda działa się jedynie – oficjalnie – w Południowej Afryce. Potępienie apartheid'u i RPA, domaganie się przestrzegania także praw człowieka, rządów tzw. czarnej większości stało się modne i w dobrym tonie. Ale gdy na Zachodzie była to moda, to w Afryce – oprócz mody – była to głęboka potrzeba. Apartheid był bowiem wygodnym płaszczkiem, pod którym można było ukryć fikcję, że RPA jest obelgą dla ludzkich praw, zaś Etiopia, Gwinea Równikowa, Centralna Afryka, Burundi itd. nie. ANC do niedawna głosiło, że tylko czarny rząd może rządzić w Afryce. Dzisiaj głosi, że cały jego wysiłek idzie na rzecz przekształcenia RPA w zjednoczone, demokratyczne, nierasistowskie i nieplemienne państwo. Na 51 krajów całej Afryki tylko jedno – Botswana – posiada zapis w konstytucji proklamujący "harmonijne współistnienie wszystkich ras". W każdym z pozostałych krajów OJA nie było nigdy i nie ma nadal demokracji, jedności, tolerancji rasowej i plemiennej. Żadna też z istniejących w tych państwach organizacji – czy to w stanie wojny z rządem, czy w stanie dyskusji – nie miała na celu dokonania w swym kraju przemian w takim kierunku. Jedynym kierunkiem jedynych przemian było i jest przejście władzy jednej partii, czyli plemienia, przez drugą partię, czyli przeciwne plemię. Partie są nowoczesnymi nazwami dla starych zwaniowych plemion. Bo ktoż by poparł plemię Ovimbundu w walce ze złąkierem mniej licznych, gdyby pierwsze nie nazywało się UNITA, a drugie MPLA? Afryka wyraża siebie za pomocą

sloganów i frazesów. To, co publicznie zostaje powiedziane, nie ma nic wspólnego z tym, co się prywatnie myśli. Bo przecież nie chodziło o prawa ludzkie w RPA. Chodziło o odwołanie uwagi świata od podwórka afrykańskiego. I temu wygodnie służył apartheid.

Tradycja i nakazem władztwa w Afryce jest wymordowanie pokonanego w walce o władzę przeciwnika. To jest prawem ludzkim. Dlatego, gdy Amin wyrzynał swych obywateli, OJA potrafiła spokojnie obradować w Kampali i wraz z przewodniczącym sesji, samym Idim, potępiać tam apartheid. Kiedy na szczycie OJA w Liberii, w 1979 r., prezydent postaminowskiej Ugandy, Binaisa, powiedział, iż "nie ma sensu krytykowanie u innych łamanie prawa człowieka, gdy sami robimy podobnie", uznano go za zdrajcę Afryki. Kraje Afryki nawoływały do bojkotu RPA, ale jedynym bojkotem, na który mogły sobie pozwolić był zakaz ładowania i przelatywania SAA nad ich terytoriami, czy wchodzenie do portów, oraz odmawianie wiz obywatelom RPA. Bo handel utrzymywany był zawsze. RPA, przede wszystkim, żyła i żyła całe południe Afryki. Ekonomiczne podporządkowanie tego rejonu Południowej Afryce ma długą historię. W 1979 prezydent Seszeli, Rene, nawoływał do ukarania tych państw Afryki, które utrzymywały kontakty handlowe z RPA, gdy 60% obrotu handlowego w jego własnym kraju pochodziło z transakcji z RPA!

Afryka nie jest cyniczna. Ma inną moralność. Południowa Afryka jest częścią zachodniego systemu ekonomicznego. Zachód uważa ją za swoją część. I dlatego od białej RPA wymaga podniesienia standardu życia jej obywateli, czego nie domaga się od innych państw Afryki. Na tym polega hipokryzja zachodnia, powielana w pułkownikach przywódców afrykańskich.

Afryka dzisiaj, na przekór ideologii, pieniądзом pompowanym w nią i tzw. walkom wyzwoleniczym – cofnęła się w rozwoju. Jest zrujnowana gospodarczo, szowinistyczna, rasistowska, plemienniekskluzywistyczna, politycznie niekompetentna, bez ekonomicznych horyzontów. Zachód się nią zmęczł. Kontynent, który nie tylko, że zrujnował to, co posiadał, ale i nie potrafi nauczyć się niczego ze swej przeszłości ani określić swej przyszłości, budzi nieufność i niechęć. Koniec komunizmu w świecie, koniec apartheid'u, koniec zimnej wojny, to koniec pieniędzy dla Afryki. RPA jest ostatnią nadzieją Afryki. Koniec

apartheid'u oznacza koniec zasłony dymnej dla Afryki. Pozbawiona płaszczyka apartheid'u Afryka stanęła wobec świata: w żadnym jej kraju nie rządzi większość, 100 milionów bez pracy, 7 milionów skazanych egoizmem i niekompetencją rządzących mniejszości na śmierć głodową jeszcze przed końcem tego roku, dziesiątki milionów rozproszonych w poszukiwaniu środków do życia i w ucieczce przed przesładowaniami za to, że osmielili się krytykować swój rząd czy za to, że należeli do niewłaściwej grupy plemiennej. Naga Afryka nie mówi nic o demokracji, o braku rasizmu czy choćby o multi-rasizmie, lecz zasłania się magicznym słowem wielopartyjność. Tak, jak apartheid pozwalał Afryce na bezkarnost u siebie, tak wielopartyjność ma dąć jak taka gwarancja na spokojny polityczny w jej krajach dla tych, którzy zechcieliby w nie raz jeszcze inwestować. Najrealniejsza i ostatnia deska ratunku dla Afryki jest Republika Południowej Afryki. RPA jest częścią kontynentu afrykańskiego, a jednocześnie należy do zachodniego systemu ekonomicznego, jest samowystarczalna pod względem żywności i paliw, ma doskonałą sieć dróg, kolei, portów, nowoczesne i kompetentnie zarządzane instytucje gospodarcze, posiada – jak na afrykańskie standardy – wielki zasób wykwalifikowanych sił wśród białych oraz – znów, jak na afrykański poziom – wysoko wykwalifikowanych miejskich czarnych ze znaczną wiedzą techniczną.

Demontaż apartheid'u Afryka przyjmuje z entuzjazmem. Nie ze względu na perspektywę demokracji w obcym kraju, czy sentymentu do uwolnionych od apartheid'u czarnych jego mieszkańców, lecz w nadziei na przetrwanie i odbudowę swych zrujnowanych gospodarek. Dyskusje nad planem Marshalla dla Afryki są błędne: druga wojna światowa zdevastowała Europę fizycznie, ale umiejętności i nastawienie na postęp w niej pozostały. To sprawiło szybkie zastąpienie zniszczonej fizycznie infrastruktury nową oraz odbudowę potrzebnego kapitału. W Afryce tych wartości nie ma. Jaka jest przyszłość Afryki bez apartheid'u? Może zajmie się budowa demokracji, do której pierwszych kroków już została zmuszona? Może stanie się bardziej ludzka dla siebie samej? Może odnajdzie swą tożsamość?

Maun, czerwiec 1991

Malgorzata Dziewiecka
Przedruk z "KULTURY" paryskiej

WSPOMNIENIA

Najkrotsza droga cz.3

Ja osobiscie jako oficer sztabu mialem dosc czesto nieporozumienia z nim (Sosabowski). Kiedy bylismy w Szkocji mielismy w kasynie oficerskim kelnerki na ktorych pobory dawalismy co miesiac jednego funta z naszych poborow. Kiedy brygada weszla do bazy operacyjnej w Stamford, nie mielismy kelnerow w kasynie. Kazdy oficer podchodzil do okienka kuchennego i zabieral swoj posilek osobiscie. Gdy przy wyplacie gazy w nastepnym miesiacu platnik potracil mi jednego funta, odmowilem pobrania poborow. Na moje pytanie, dlaczego mi potracil pieniadze dla nieistniejacych kelnerow, oznajmil, ze Sosabowski zdecydowal, iz ten funt bedzie przeznaczony na sieroty polskie. Odpowiedzialem, ze nie zgadzam sie na to, by dowodca dysponowal moimi poborami. Zostalem wezwany do raportu u dowodcy brygady. Pierwsze slowa jakie Sosabowski wyrzekl, byly: "Co, Pan jest komunista, czy co?" "Mielismy dluga i nieprzyjemna dyskusje, ale ja osiagnalem, to co chcialem.

Kiedys, gdy Sosabowski wszedl do klubu, ja rozmawialem z mloda Szkotka. Popatrzylna mnie i po polsku mrknal: "Wyrzuc Pan te babe, to jest oficerski klub. Kiedy mu odpowiedzialem, ze nie moge jej wyrzucic, gdyz jest corka wlaszcielki tego budynku, wszedl do baru, trzaskajac drzwiami.

Czesto urzadzalismy w klubie tance w salonie w ktorym byl fortepian. Jezeli Sosabowski byl w tym czasie w klubie, byl ponury i nieprzyjemny dla otoczenia. Jego zyciem poza praca byl klub, albo wizyty w domach arystokracji szkockiej. Przewaznie bral swego adiutanta dr podch. Hempla, ktory mowil plynnie po angielsku, podczas gdy Sosabowski mowil lamana angielszczyzna. Kilka razy ja rowniez bylem zabierany na wizyty do tych domow. Trzeba bylo byc bardzo uwaznym, by w razie potrzeby pomoc Sosabowskiemu w tlumaczeniu.

Pamietam taki wypadek w Sanquar, gdzie bylismy zaproszeni na "dinner". Wlaszcielka tego majatku, Mrs. Dickie, byla wdowa. Cale zycie mieszkala w Indiach i wrocila do Szkocji po smierci meza. Miala bardzo mila i piekna sekretarke. Jedlismy dinner w czworke: Mrs. Dickie, sekretarka, pulkownik i ja. Nie moglem porozmawiac z sekretarke, bo Sosabowski nie dal mi takiej mozliwosci. Gdy sie pozniej dowiedzial, ze widuje ta Szkotke, ze chodzimy razem do kina i do restauracji, nie byl tym zachwycony.

Plk. Sosabowski, pozniejszy general, wprowadzil w Leven Polski Sad Polowy. Nie bylo to podejscie przyjete przez oficerow bez komentarzy. Mala jednostka, bez zolnierzy ma sad polowy. Jaki cel tej instytucji? Co ten sad bedzie robil? Przekonalismy sie w krotkim czasie, ze pulkownik uzywal ten sad jako gwarancje utrzymania porzadku w jednostce. Wszystko, co mu nie



odpowiadalo bylo oddawane do sadu. Spora grupa starszych oficerow w zwiazku z tym opuscila brygade.

Stosunki nasze z tubylcami byly jednostronne. Szkotki lubily Polakow, Szkoci nas na ogol nie lubili. Bylo to calkiem zrozumiale, gdyz Szkoci zazdroscili Polakom powodzenia u Szkotek. Polskie podejscie do plci pieknej bylo nowoscia dla Szkotek. Komplementary, kwiaty, calowanie raczek poprostu otumanilo Szkotki. A Szkoci uwazali, ze to nie po mesku, zeby zamiast pic w barze, isc z panna do kina.

Byly z tego powodu czeste nieporozumienia, czasami z nieprzyjemnymi skutkami. Byly tez malzenstwa miedzy Polakami i Szkotkami, zle widziane przez duchowienstwo szkockie i przez koscioł katolicki, jak rowniez przez dowodce brygady. Trudno bylo Polakom dostac zezwolenie na slub, jezeli jednak sprawa byla przekazana do wladz brytyjskich i pozwolenie zostalo wydane, czesto konczylo sie to w polskim sadzie polowym.

Pamietam wypadek typowy dla tych warunkow zycia. Kiedys jako oficer sluzbowy, okolo godz.9 w nocy, mialem telefon od jakiejś Szkotki. Proсила o gen. Sosabowskiego. Kiedy jej powiedzialem, ze general spi, ale ja jako oficer sluzbowy jestem do jej dyspozycji, oznajmila mi, ze oficer, ktory u niej kwateruje ma w swym pokoju Szkotke i poprosil ja o sniadanie jutro rano w lozku dla dwoch osob. Powiedziala, ze jest tym oburzona, bo jej dom jest domem o wartosciach moralnych i prosila nas o natychmiastowa interwencje. Odbylem telefoniczna rozmowe z owym oficerem, wskazujac mu na skutki tej sprawy, jesli dowodca brygady sie o tym dowie. Zapewnial mnie, ze sprawa zalatwi natychmiast. Po kilku minutach Szkotka znow zadzwonila do mnie, proszac, bym zapomnial o jej skardze, tlumaczac mi, ze oni sa zareczeni. Oficer ten mial zone w Polsce. Co za hipokryzja!

Naszym oficerem lacznikowym byl kpt. Scott - Montcrief. Kiedys przyszedl do mnie do sztabu, dajac mi pismo z War Office do niego z zapytaniem, jak on zalatwil sprawe wymagan seksualnych polskiego wojska w Leven. Prosil mnie o rade, gdyz nie wiedzial, co ma na to odpowiedziec. Zapewnilem go, ze moze napisac, iz Polacy w Leven nie maja problemow seksualnych. Dziwil sie jak moglem z miejsca dac mu odpowiedz bez szczegolowego zbadania sprawy. Poradzilem mu, by zadal to pytanie swojej narzeczzonej. Moze ona mu da odpowiedz. Po kilku dniach powiedzial mi, ze nie pytal narzeczzonej, ale odpisal do War Office to co mu poradzilem.

W roku 1943 nastapila zasadnicza przemiana w organizacji Brygady Spadochronowej. Byl to poczatek naplywu zolnierzy przybylych do Brytanii z Rosji Sowieckiej, po uzyskaniu przez gen. Sikorskiego od Stalina zezwolenia na ich wyjazd na Zachod. Brygada przestala byc kadrowa i zaczela formowac prawdziwa jednostke wojskowa. Mielismy trzy baony piechoty, oddzial przeciwpancerny, oddzial lacznosci, kompanie sanitarna, kompanie dowodzenia, ktora ja dowodzilem i wszystkie dodatkowe jednostki administracyjne. Rownoczesnie z uzupelnieniem personalnym przybyl sprzet i uzbrojenie jednostek. Sosabowski ze zwykla swoja energia i zapalem przygotowal program szkolenia i wychowania nowych przybyszow. Najwazniejsza sprawa bylo przyprowadzic strzelcow do zdrowia. Za pomoca naszych lekarzy ustalono program energetycznego wyzywienia tych, przewaznie mlodych, Polakow, oraz program powolnego wprowadzania cwiczen gimnastycznych pod stala kontrola lekarska.

W jednostkach spadochronowych naszych aliantow wszyscy byli ochotnikami. W polskim wojsku sprawa ta byla dyskutowana przez dowodce brygady z generalem Sikorskim, ktory byl za tym, by tylko ochotnikow wcielac do brygady. Wkrotce po rozpoczeciu wcielania naszych nowo przybylych mlodziencow do naszej jednostki okazalo sie, ze nie bylo duzo amatorow na ten rodzaj broni. Gen. Sosabowski mial w tej sprawie pare konferencji z naszymi wladzami w Londynie. W koncu uzyskal zgode na uzupelnienie brygady bez pytania wybranych, czy chca, czy nie chca byc spadochroniarzami. Sprawa ta byla szeroko dyskutowana w rozmaitych osrodkach, a dowodcy innych jednostek polskich w Szkocji byli przeciwni tej decyzji, gdyz uciierpialo na tym uzupelnienie personalne ich jednostek. W zwiazku z tym stosunki miedzy jednostkami polskimi w Szkocji, a szczegolnie miedzy ich dowodcami nie polepszyly sie. Rowniez w brygadzie bylo wiele dyskusji na ten temat, nikt nic konkretnego nie mogl zrobic, gdyz rozkaz ten przyszedl z Londynu i na tym sprawa sie zakonczyla. Byly pojedyncze wypadki oporu, ale dowodca brygady mial sad do swej dyspozycji, ktory pracowal w mysl danych mu przez gen. Sosabowskiego nakazow i w zwiazku z tym zarzadzenie to musialo byc przyjete. Poza tym nie bylo innego wyjscia w tej sprawie, biorac pod uwage koniecznosc stworzenia jednostki spadochronowej, a nie majac do dyspozycji nieograniczonego zrodla kandydatow, jak mieli nasi alianci. Zaczelismy wiec prace w mysl dowodcy brygady, by stworzyc silna pod wzgledem fizycznym i moralnym jednostke spadochronowa, gotowa do trudnej walki w warunkach zupełnie innych od innych jednostek wojska. Nalezy pamietac, ze spadochroniarz rzucony do walki poza linie nieprzyjaciela nie ma zaplecza na ktorego pomoc moze liczyc w chwilach krytycznych. Spadochroniarz jest sam i musi polegac na sobie samym i w walce i

WSPOMNIENIA

w dysponowaniu amunicją, wodą, pokarmem i t. p. On nie wie, czy otrzyma uzupełnienie amunicji i żywności lub inna pomoc od swoich. Trzeba było spadochroniarza przygotować na te ewentualności, że będzie walczył sam, bez pomocy i przeważnie poza linią nieprzyjaciela. Powodzenie w tej walce zależy od kompletnego zaskoczenia nieprzyjaciela i bardzo agresywnego natarcia spadochroniarza. Stworzyliśmy w wyznaczonym nam czasie jednostkę o charakterze spójności. Różnica pomiędzy oficerem, podoficerem i strzelcem powoli zaczęła zanikać. Wiadomo, że w czasie walki wszyscy są ubrani jednakowo, wszyscy mamy to samo uzbrojenie, lecimy tym samym samolotem i jesteśmy zależni od współpracy sasiada bez względu na to, czy jest oficerem, czy strzelcem. Nasi strzelcy zrozumieli nasze zadania i można stwierdzić, że wskazówki i zarządzenia dowódcy brygady dały wspaniałe wyniki. Nie sądzę, by w Wielkiej Brytanii była inna polska jednostka o tak zgranej jednostki personalnej między dowódcami i podwładnymi. Jako dowódca kompanii dowodzenia miałem pod swoją komendą około 200 strzelców i 8 oficerów. W skład kompanii wchodził pluton administracyjny, motorowy, zaopatrzenia, skład rusznikarzy, pluton mechaników, składy broni i amunicji, żywności, benzyny i t. p. W plutonie administracyjnym było około 20 – 25 starszych podoficerów zatrudnionych w magazynach i biurach. Wszyscy byli w starszym wieku, dość obszernej w pasie. Pewnego dnia dowódca brygady zarządził inspekcję kompanii. Przeglądając pluton administracyjny zwrócił mi uwagę, że ten pluton wygląda jak grupa kobiet w ciąży. Powiedział do mnie: "Kapitanie, dam Panu jeden miesiąc na pozbycie się tych brzuchów." Na drugi dzień zarządziłem specjalną gimnastykę dla tego plutonu. Wynik był taki, że wszyscy przynieśli mi zaświadczenia lekarskie, że nie wolno im wykonywać ciężkich ćwiczeń w związku z ich stanem zdrowia. Kiedy o tym zameldowałem dowódcy brygady oświadczył mi, że to jest moja sprawa. Mam rozkaz od niego, a jak go wykonam, to moja rzecz. W związku z tym poprosiłem o przeniesienie do sztabu i wyznaczenie innego dowódcy kompanii. Mianowano mnie zastępcą szefa uzbrojenia brygady. W roku 1944 brygada została włączona do brytyjskiej Dywizji Powietrznej i władze brytyjskie domagały się ukończenia treningu i przygotowania brygady do akcji.

Hasłem brygady i podstawa jej istnienia był slogan "Najkrótsza Droga", to znaczy najkrótsza droga powrotu do Polski.

Cały trening i wychowanie moralne brygady opierało się o ten cel brygady. Nigdy nie było zamiarem Sosabowskiego przygotowanie brygady do walki na froncie zachodnim, pod dowództwem alian-tów. Na każdym zebraniu, czy odprawie motywem istnienia brygady było hasło: "Najkrótsza droga do Polski".

Oficerowie i żołnierze brygady pracowali z tą myślą i ten cel był ich motywem w zapale do pracy. Gen. Sosabowski starał się przekonać władze polskie i brytyjskie, że celem naszym jest walka w Polsce i zwrócił Londynowi uwagę na to, że generał Sikorski we wszystkich przemówieniach do żołnierzy brygady podkreślał, że celem jest użycie brygady w oswojeniu kraju od Niemców. Nigdy nie mówiono o użyciu brygady do walk na Zachodzie. Rząd Polski w Londynie był zależny od władz brytyjskich w zaopatrzeniu armii polskiej na zachodzie i był bezwładny pod naporem Churchilla i innych przedstawicieli Rządu Wielkiej Brytanii. Wskutek tego zarządzenia władz wojskowych brytyjskich były przyjmowane przez Polaków i brygada spadochronowa weszła w skład armii powietrznej brytyjskiej. Sosabowski nie przestawał jednak czynić starań o zmianę zarządzeń. Udowodnił władzom polskim i brytyjskim, że nasi żołnierze rozpoczęli trening o wiele później niż żołnierze alianccy i wskutek tego nie są jeszcze przygotowani do akcji bojowej. Polacy nie mieli ćwiczeń z wielkimi jednostkami i nigdy nie pracowali razem z brytyjskimi jednostkami. Nic z tych starań nie wyszło. Brygada została zmobilizowana i zaczęli zaopatrywać nas w broń, amunicję i inne materiały potrzebne na polu walki. W celu odzyskania wspólnych ćwiczeń przetrzucono brygadę do Anglii do Stamford, który był w rejonie Brytyjskiej Dywizji Powietrznej. Dwaście godzin po naszym przybyciu do Stamford zaczęły się ćwiczenia na wielką skalę wspólnie z wojskami brytyjskimi. Setki samolotów i tysiące ludzi brało udział w tych manewrach. Z Polski nadeszły wiadomości o powstaniu Armii Krajowej i walkach w Warszawie, a także o zatrzymaniu się wojsk sowieckich i o lotach alian-tów i Polaków z Włoch nad Warszawę celem niesienia pomocy powstancom. W Anglii tymczasem zaczęto robić przygotowania do użycia jednostek armii powietrznej w walce na kontynencie. U nas w brygadzie wrzało od zadan użycia naszej brygady w Polsce dla pomocy Warszawie. Sosabowski też telefonował w tej sprawie do Londynu i do Brytyjczyków, ale udowodniono nam jednak, że nie ma możliwości użycia brygady w Polsce. Po pierwsze samoloty musiałyby latać nad terenem zajęty przez Niemców i straty byłyby olbrzymie. Po drugie w Polsce nie mielibyśmy miejsc na zrzut spadochroniarzy i znowu straty byłyby olbrzymie w dodatku bez szans udzielenia pomocy dla walczących w Warszawie Polaków. Nastroj w brygadzie był trudny do opisanego. Wszyscy domagali się lotu do Polski, ale niestety były to wymagania nie do zrealizowania. Ale Sosabowski nie ustawał w swych zmaganiach o nieużycie brygady wraz z Brytyjczykami. Pamiętam jednego dnia, a była to niedziela, Sosabowski siedział w swym biurze i telefonował przez cały czas. Dopiero późno po południu poszedł do swej kwatery i przed wyjściem z biura polecił mi pozostanie w jego biurze i zawiadomienie go bezzwłocznie jeśli będzie telefoniczna wiadomość z Londynu. Odebrałem telefon, ale niestety,

odpowiedź była negatywna. Dowódca Armii Powietrznej był gen. Browning, a Montgomery, jako naczelny dowódca sił brytyjskich ludził się myślą, że przez użycie sił powietrznych będzie mógł skrócić wojnę. Nie zdawał sobie sprawy, że siły niemieckie nie były kompletnie wykończone i było dużo jednostek niemieckich zdolnych pod względem moralnym do prowadzenia dalszej walki. Montgomery był błaznem, który miał wyolbrzymione pojęcie o sobie. Nie mógł pogodzić się z tym, że Eisenhower jest naczelnym dowódcą sił alianckich. Montgomery stale marzył o wykonaniu czegoś, co wykazałoby światu, że on i tylko on wie jak prowadzić walkę i jak zwyciężyć. On nie lubił Polaków i nie wahał się stwierdzać tego przy każdej okazji. Ja byłem jeden raz na odprawie oficerów alianckich, gdzie on był przewodniczącym. Na mnie zrobił wrażenie błazna. Krzyczał i pisał jak człowiek wytracony z równowagi. Uważam, że powinien być aktorem filmowym, a nie dowódcą wojskowym. On był autorem pomysłu użycia wojsk powietrznych w Holandii nad Renem. W wyprawie na Ren brały udział: 101 Amerykańska Dywizja Powietrzna, 82 Amerykańska Dywizja Powietrzna, 1 Brytyjska Armia Powietrzna i 1 Polska Brygada Spadochronowa. Zadaniem ich było zajęcie mostów na rzece Ren i utrzymanie ich do czasu przybycia wojsk alianckich. Podstawą tego przedsięwzięcia było zaskoczenie Niemców przy mostach na Renie i uchronienie ich przed zniszczeniem przez Niemców. Pomysł i zadanie mogły mieć powodzenie gdyby była pewność, że Niemcy nie są przygotowani na zaskoczenie. Informacje otrzymane przez wywiad aliancki stwierdzały, że w Arnhem są silne zmotywowane oddziały niemieckie i inne oddziały piechoty. Pomimo fotografii dostarczonych do dowództwa brytyjskiego, stwierdzających obecność tanków, Montgomery się uparł, że sa to jednostki drugorzędne i że Arnhem jest słabo obsadzone przez armie niemiecką.

Na odprawie wyższych dowódców jednostek, które miały brać udział w tej wyprawie, jedynie gen. Sosabowski stwierdził, że nie należy się ludzkiej myśli, iż Niemcy będą lekceważyć mosty nad Renem, które są drogą wejściową w głąb Niemiec. Ktokolwiek marzy o zaskoczeniu Niemców, nie ma pojęcia o tym co jest rzeczywistością. Niemcy są bardzo silni w tych miejscach i o zaskoczeniu ich nie ma mowy. Dyskusje były bardzo burzliwe, szczególnie wtedy, gdy Sosabowski zażądał od brytyjskiego dowództwa rozkazu na piśmie, twierdząc, że pomimo jego ostrzeżenia, iż wynik wyprawy będzie katastrofalny, jest zmuszony przez brytyjskie dowództwo do użycia brygady spadochronowej w tej bezcelowej imprezie i że oni są odpowiedzialni za niepotrzebne straty w ludziach. Sprawa ta oparła się o rząd polski i Sosabowski musiał ustąpić, a brygada musiał wziąć udział w tej tragicznej wyprawie do Arnhem. Przed wylotem do Arnhem brytyjski gen. Browning zwrócił uwagę gen. Montgom-

ery, że mosty te są zbyt odległe dla dojszcia zmotoryzowanych wojsk w czasie, którym dysponują spadochroniarze dla utrzymania mostów. Montgomery zignorował to i wydał rozkaz wylotu. (patrz "A Bridge to Far"). Wynik walki pod Arnhem był katastrofalny, straty były olbrzymie i mostu nie utrzymano, gdyż siły niemieckie były przeważające. Ja byłem przed samą wyprawą odkomenderowany do 82 Amerykańskiej Dywizji Powietrznej jako oficer łącznikowy i nie mogę opisać walk pod Arnhem, gdyż w kilka minut po wylądowaniu moje prawe płuco zostało przestrzelone i nie pamiętam dużo z tych wydarzeń. Odzyskałem przytomność w szpitalu w Lincoln w Anglii, gdzie byłem przez kilka dni. Stamtąd wysłano mnie do polskiego szpitala w Polnocnej Szkocji. Byłem w tym szpitalu do lutego następnego roku. Po wyjściu ze szpitala zostałem wyznaczony na kwatermistrza Ośrodka Spadochronowego w Leven, a następnie byłem przeniesiony do Sztabu Naczelnego Wodza do szefostwa personalnego i zaopatrzenia. Moim przełożonym był płk. Stolarski, były kolega z Brygady Spadochronowej.

Gen. Sosabowski w swej książce "Najkrótsza Droga" twierdził, że był bardzo trudnym podwładnym, a ja uważam, iż powinien być dodac, że również był bardzo trudnym przełożonym. Przez czas pobytu w Szkocji swoim postępowaniem w stosunku do przełożonych i podwładnych był określan jako właściciel brygady. Dużo osób nie lubiło go. W skutek tego po powrocie z Holandii wyznaczono nowego dowódcę i Sosabowski znalazł się na liście oficerów bez przydziału. Był to ciężki cios dla niego, jako wynagrodzenie za jego paroletnią pracę w stworzeniu pierwszej polskiej jednostki spadochronowej. Były pogłoski, że korpus oficerski brygady wystąpił, domagając się zwrotu mu dowództwa brygady. Ja dokładnie tej sprawy nie znam, bo już w brygadzie nie byłem. Mówiono, że on sam na zebraniu przed opuszczeniem brygady namówił oficerów do tego kroku. Były to jednak tylko pogłoski, więc trudno wyciągać z tego wnioski. Wiem natomiast, że dużo ludzi żalowało jego odejścia z brygady, ale również dużo ludzi twierdziło, że otrzymał to, co mu się należało.

Wiem, że po zakończeniu wojny wystąpił z zamiarem wyemigracji z duża grupa byłych spadochroniarzy do Kanady z tak zwanym "Zadaniem Jagiellonskim". Celem tego było utworzenie dużej instytucji polskiej pod jego przewodnictwem dla wybudowania dużego tartaku w Kanadzie, dla produkcji i eksportu drewna za granicę. Nie doszło to jednak do skutku, gdyż nie było chętnych. Sosabowski był jednym z głównych czynników w stworzeniu Związku Polskich Spadochroniarzy w Londynie. Brał udział w pracach tego związku i był ceniony za swoją działalność. Mieszkał w Anglii i pracował w fabryce. Był szanowany i ceniony przez emigrację polską w Londynie.

Henryk Samolinski



PROCES LEWICY AKADEMICKIEJ W WILNIE W 1936 r.

(Zygzakiem ale nie po prostu) –
dokonczenie.

PROCES

Pierwszy proces Lewicy Akademickiej "11" trwał cztery dni. Od dziewiątej z rana aż do późnego wieczora przesuwali się przez sale świadkowie. Ale podczas gdy większość świadków oskarżenia stanowiła tajniacy, powołujący się na "dane konfidencjonalne", w obronie studentów stawali ich profesorowie, którzy ośmieleni ich zdolnościami, widzieli w podsądnych tylko kontynuatorów filomackich dążeń, żeby "nad poziom wylatywać". Obroncami oskarżonych byli adwokaci, świadomie wyselekcjonowani w ten sposób by w oczach opinii publicznej mogli reprezentować wszystkie główne odłamy polityczne. Był to szeroki wachlarz złożony z kwiatu palestry wilenskiej: od skrajnie prawicowego "endeka" Jasińskiego do znanej obronczyńi komunistów Haliny Zasztowt-Sukiennickiej. Był wśród nich przedstawiciel chadecji Engel i liberal Kulikowski i o nieskrystalizowanych poglądach politycznych Krzyżanowski, dziekan rady adwokackiej. Wspaniale wyglądał Kulikowski, gdy głębokim basem wygłaszał mowę obronczą, patos płynął jak patoka. Krzyżanowski mówił bardziej sucho, ale za to popierał swoją obronę cytując z dzieł ekonomicznych. Sukiennicka powoływała się na "Ode do młodości", mówiła o filareckich tradycjach i o prawie młodzieży do poszukiwania nowych dróg. Ten sam motyw mickiewiczowski podchwycił Jasiński i zarzucił prokuratorowi, że za dużo posługuje się "medra szkiełkiem i okiem".

Prokurator Wolski niewdzięczne miał zadanie. Musiał te młodzież, która pasowała na epigonów "Promienistych" oskarżać o zdradę państwa, o działanie na jego szkodę, o chęć oderwania części jego obszaru. Po mowie prokuratora słyszałem jak jakas paniusia mówiła do drugiej:

– A czegoż on tak zezilił się na te biedne dzieci, moja pani, nadtoz hadko gadal...

Blado wypadła mowa prokuratora, a wyrok potwierdził przypuszczenia: większość oskarżonych została uniewinniona, skazani zostali tylko Druto, Liwyszyc i Smał. Ponieważ jednak obie strony apelowały od wyroku, proces miał trafić

wreszcie do Sadu Najwyższego, gdzie zaakceptowano skargę kasacyjną prokuratora. Wkrótce potem wybuchła wojna.

Gdy się czyta publikację na temat Lewicy Akademickiej wydanej w Polsce Gomułkowskiej, widzi się z jaką łatwością wystrychnęli oskarżeni na dudka całe niemal społeczeństwo, łącznie z panami w togach sędziowskich. "Niewinne", "kochane dzieci", "ofiary wsteczności i kulturerii", wyzywały się w konspiracji, która miała dla nich "smak i zapach zakazanego owocu". Przyjmowali wskazówki od tajemniczego wysłannika Centrali Komunistycznej, znanego pod pseudonimem "Doktor"; przedstawiciele partii nazywali "ciocia", a członków KZM – "kuzynami", podczas gdy partia nazywała się "rodzina". Kładąc rękę na drzewcu młotka, składali przysięgę "na życie", że będą "służyć klasie robotniczej i wprowadzać w życie zasady moralności socjalistycznej". Agitowali po fabrykach, rozwozili ulotki, zakładali rady robotnicze.

Nawet wytrawny polityk Mieczysław Niedziałkowski, który "zeby zjadł" w konspiracji, dramatycznie bronił wilenskiej lewicy w "Robotniku": "...szukali własnych dróg... wreszcie znaleźli... Wierc przyszedł do nas, przyszedł do spójalizmu polskiego, przyszedł szczerze, uczciwie lojalnie... I wtedy właśnie ich aresztowano". Piszac ten artykuł Niedziałkowski ani się domyślał, że "grupa" przystąpiła do PPS po uzgodnieniu tego manewru ze swymi władzami w KPP, wstąpiła do PPS, ażeby "legalizmem organizacyjnym" pokryć prawdziwą komunistyczną działalność.

HENRYK DEMBINSKI

Jak wiadomo w pierwszym procesie lewicy Henryk Dembinski uniknął aresztowania, gdyż w okresie objętym aktem oskarżenia przebywał za granicą. A jednak wszyscy uważali, że sąd odbywał się nad nim również, że to on był ideowym wodzem "grupy". W tym wypadku mylili się wszyscy – Dembinski był wówczas niewinny nie tylko de iure ale i de facto. Grupa przystąpiła do partii komunistycznej i była już po uszy zaplątana w robocie wywrotowej, podczas gdy Dembinski podróżował po Europie. Dzisiaj wiemy, że grupa niepokoiła się jak Dembinski przyjmie ich decyzje stworzenia akademickiej komórki komunistycznej przy KPZB. Tymczasem jego pierwsze słowa po wyjściu z wagonu miały być: "Czy już macie kontakt z partią?". W kilka dni potem Dembinski został przyjęty do "Frontu" i do KZM.

Piszac o Lewicy Akademickiej w Wilnie nie sposób nie poświęcić dłuższej wzmianki Henrykowi Dembinskiemu. Była to postać bardzo ciekawa, bolesnie tragiczna, niezmiernie polska. Jak Judym marzy o "szklanych domach", jak Wokulski przejawia gust do spraw straconych, jak Kmicic w Radziwiłła, on wierzy w marksizm, jak Konrad pragnie "rządu dusz". Jego fizyczny portret to postać, która zstąpiła z ram grottgerowskich; włosy niesforne, spadające na wysoko sklepione czoło, smutne oczy i bardzo wydatne szerokie

WSPOMNIENIA

usta. Prototypami psychicznego portretu Dembinskiego mogli być Maurycy Mochnacki i Stanisław Brzozowski. Tak samo jak on miotali się na rozstajach radykalizmu, wyzywali w demagogii, dzięki zdolnościom i entuzjazmowi zabłysnęli jak meteory – i zgasli. Umarli w mniej więcej tym samym wieku co Dembinski.

Nie ulega dziś wątpliwości, że w skomplikowanej psychice Dembinskiego kompleksy grały wielką rolę. Wśród nich najważniejsza była obsesja śmierci. W przejmującym i sliźnie literacko napisanym liście do żony ze stycznia 1938r. pisze, że "śmierć jest mistrzynią życia, lepsza niż historia" a dalej opisuje swoje zachwyty nad "Saga Forsytów", bo tam są "wspaniałe obrazy angielskich dżentelmenów w ich zbliżaniu się do śmierci", pisze że chciałby wiedzieć o szczegółach ostatnich chwil Unilowskiego, bo "chwile przedśmiertne są najdoskonalszym objawem istoty całego życia". Po kilka razy czytał rozdziały o śmierci "Prostaczka z Asyżu" i kończył swój dziwny list:

"I nie ma większej rehabilitacji człowieka i życia, nie ma większej radości honoru i duszy, jak cichy szepot sw. Franciszka "sois la bienvenue na soeur la mort". I prawda chyba będzie, że tylko ten, kto nauczył się kochać naszą siostrę śmierć, ten potrafi w pełni rozsmakować się w rozkoszach życia i w miłości ludzi żyjących". (Według książki Anny Jedrychowskiej.)

Henryk Dembinski urodził się w Irkucku, skończył szkołę średnią w Osmianie, wstąpił na wydział prawa uniwersytetu Stefana Batorego w 1927r. Był wtedy gorącym katolikiem i dlatego zgłosił się do katolickiego stowarzyszenia akademickiego "Odrodzenie". Zachwyca się tomizmem, chce wprowadzić do stowarzyszenia idee "renovare in nomine Christi". Jednocześnie na wykładach ekonomii zetknął się Dembinski z dziełami Marksa, Engelsa i Lenina i wtedy przyszło mu na myśl, żeby polaczyć katolicyzm z marksizmem, nazwał to "proba ochrzczenia bolszewizmu". W 1931r. wraz z innymi kolegami zaczął wydawać dodatek do "Słowa" pt. Zagary. Opublikował tam artykuł pt. "Defilada umarłych bohaterów", artykuł już wyraża radykalny i antykapitalistyczny. Stanisław Mackiewicz musiał "Zagary" zawiesić. W r. 1932 odbył się w Lublinie walny zjazd "Odrodzenia". Przemawiał w imieniu Dembinskiego (rzekomo chorego) i grupy wileńskiej Henryk Chmielewski, który swoją mowę zakończył:

– Zegnajcie, prawdopodobnie jeszcze się spotkamy w życiu, ale przez lufy karabinów".

Ksiądz Walerian Meysztorowicz, który był opiekunem "Odrodzenia", głęboko przeżył rozłam w stowarzyszeniu spowodowany przez Dembinskiego i miał powiedzieć, że czuje się jak "kura, która wysiedziała samolot". Lata 1931–1932. Dembinski był pochłonięty walką o władzę na uniwersytecie, o zarząd Bratniaka. Przegrywał wybory,

wygrywał wybory, działał. W tym czasie tak o nim śpiewano w szopce akademickiej:

Henryk,
tryumfalny powitalny slychac
ryk,
kiedy tłum mnie uczcic chce.

Henryk,
arywista, passeita i ekscen-
tryk,
frazes byly USB.

Szczyt, ideowy mit,
utajony Zyd...

Tworze,
nowe drogi, nowe bogi, nowe
zorce,
zawsze jestem dalszy ciag.

W końcu r.1937 Dembinski ukończył pracę doktorską. Tymczasem jego dawni koledzy opuszczali go, przescigali go w radykalizmie, szli szybko ku całkowitemu komunizmowi. Wcześniej, bo w 1934r. wyjechał na rok do Austrii i Włoch. Według relacji Jedrychowskiej, Dembinski miał ostatecznie stracić wiarę w Rzymie i tam powziął ostateczną decyzję: "spalić wszystko co kochał" i przystąpić do partii komunistycznej. Z tą relacją sprzeczne jest jej inne wspomnienie. Już przy wyjeździe z Wilna za granicę Dembinski zegnał kolegów podniesiona do góry pięścią. Należy postawić tezę, że kto wie, jakby się rozwinęły dalsze meandry polityczne Dembinskiego, gdyby na audiencji u papieża na tronie Piotrowym zasiadał Jan XXIII a nie Pius XI.

Po powrocie do Wilna Dembinski zastał całą swoją grupę "intelektualistów" zrzeszoną w nielegalnej organizacji "Front" KZM, będącym przybudówką do KPZB. W r. 1935, jak wiadomo, zaaresztowano akademickie kierownictwo "Frontu". Dembinski nie figurował w procesie jako oskarżony, trafił natomiast na ławę podsadnych w tzw. procesie "Poprostu" w r. 1937. Został wtedy skazany na 4 lata więzienia. Rok przedtem zdekonspirował się zupełnie, gdy na zjeździe pracowników kulturalnych we Lwowie krzyknął na całe gardło: "Czerwone Wilno, stolica Białorusi zachodniej podzwania Lwów, stolice zachodniej Ukrainy".

Gdy wybuchła wojna Dembinski wraz z żoną opuścił Wilno i udał się na Polesie. Nie zrobił żadnej kariery. W chwili gdy wojska niemieckie ruszyły na wschód, Dembinski był dyrektorem szkoły dla... dorosłych w Nowej Wilejce. Jedrychowski, Sztachelscy i Putrament byli już w Moskwie.

W sierpniu 1941 Dembinski został przez Niemców rozstrzelany. Już nie żył, gdy "Sad Specjalny Rzeczypospolitej" w Wilnie w grudniu 1942 skazał go wraz z Jedrychowskim na karę śmierci "za współpracę ze Związkiem Sowieckim na szkodę Polski". Nie dowiemy się nigdy jak umierał. Relacja młodego białoruskiego chłopca, który widział jak Dembinskiego prowadzili Niemcy do zagajnika w Hancewiczach, wkracza już w dziedzinę legendy. Dembinski miał powiedzieć: "Umieram, bo za dużo kochałem ludzi", miał iść usmiechnięty, z podniesioną głową, miał w ostatniej chwili wyrwać się oprawcom i uciekać na oślep.

Umarł przeszyty kulami. Nie dowiemy się również nigdy, czy wstępując na polną ścieżkę, prowadzącą do zagajnika w Hancewiczach nie kroczył już droga do Damaszku.

Tyle rzeczy było niedopowiedzianych w krótkim życiu Dembinskiego. Co myślał np. gdy czytał sprawozdania z procesu Zinowiewa, Kamieniewa i Bucharina? Jego koledzy "zamknęli na dwa obroty klucza w zamku sprawie procesów w Moskwie", postanowili o tym nie dyskutować a nawet nie myśleć. Czy Dembinski równie łatwo przeszedł do porządku nad tą sprawą? On, który miał tak bardzo "czułe sumienie", że znalazłony w archiwum watykańskim dokument, (według którego Kociol miał rzekomo popierać Mussoliniego w początkach jego kariery) zdecydował, że młody zapaleniec miał ostatecznie zerwać z katolicyzmem. Co myślał Dembinski o pakcie Molotow-Ribbentrop, on który przed przystąpieniem do partii komunistycznej był tak silny w negacji? Partia należała mu solidny kaganiec, gdyż ani razu nie odezwał się Dembinski publicznie na temat spraw drażliwych. Możliwe, że jego ostatni artykuł ogłoszony w r. 1939, pod pseudonimem Henryka Kory jest sła biutkim protestem przeciwko obcemu sciskającym mózgi. Pisze: "W świecie dzisiejszym jest gorzej niż w dżungli, zjemy w nieznanym jeszcze w historii rozkwicie obludy". Co również myślał Dembinski, gdy już we wrześniu 1939 aresztowano profesorów i wywieszono w głąb Rosji adwokatów, którzy jeszcze tak niedawno bronili Lewicy Akademickiej? Jaka była wewnętrzna reakcja Dembinskiego, gdy jego najbliższy współpracownik Bogdan Skarżynski, brat przyrodni Jedrychowskiego, został wywieziony do "oddalonych gubernii" na skutek donosu, że był socjalfaszystą?

PO 55-CIU LATACH

W tej samej paczce, która zawierała publikacje wydane w kraju o Lewicy Akademickiej znalazły się w 1966r. numery paryskiej "Kultury". W numerze z września 1966r. przeczytałam sprawozdanie pt. "12 procesów młodzieżowych".

"Na wokandę sadu dla nieletnich w Łodzi wpłynęło od stycznia do maja br. 11 spraw politycznych przeciwko kołom samokształceniowym, działającym w środowisku robotniczym. Dwunasta ma wejść na wokandę. Jest to oskarżenie przeciw studentom uczelni łódzkich. Sprawa nr.11 dotyczyła grupy "polskiej akcji podziemnej"... 5 osób po 5-miesięcznym areszcie odpowiadało z wolnej stopy, 8 oskarżonych przywieziono na rozprawę z więzienia". Należy zwrócić uwagę na daty: styczeń 1936 – styczeń 1966. A więc 30-ta rocznica. Główny oskarżony Józef Orzeszko, skazany na 2 i pół roku więzienia tak przemawiał w wyjaśnieniu oskarżonego: "Do kogo mielibyśmy się zwracać? Pan prokurator przecież wie, że starsi ludzie kłamią, żeby ocalić posady. A co najmniej milczą. Chyba nie mogliśmy się zwracać o radę do kłamców? A w tych waszych klubach też iza. Chyba nie tam należy szukać odpowiedzi na nasze pytania. Odpowiedź

znalezliśmy sami. Ojciec jednego kolegi zginął w Katyniu. A drugi w latach pięćdziesiątych. Dlaczego milczy się o tych rzeczach? Dla wygody Związku Radzieckiego? Chyba tak... Wyciągnęliśmy ten wniosek i do pomocy nie potrzebowaliśmy nikogo".

Stwierdzam, że oskarżeni w procesie Lewicy Akademickiej nie zdradzali nadmiaru odwagi cywilnej. Oskarżony młodzieniaszek Orzeszko posiada ją w wysokim stopniu. Stwierdzam również, że niesforna muza historii spletała złośliwy figiel: proces młodzieży w Łodzi odbywa się dokładnie 30 lat po procesie wileńskim.

Tak się złożyło, że książkę Anny Jedrychowskiej pt. "Zygakiem i po prostu" (W-wa, "Czytelnik", 1965) przeczytałam w buszu afrykańskim. Lampka gazowa słabo oświetlała kąt namiotu, szumiały kolczaste akacje, dolatywały do mnie wycia hien i ujadania szakali. Przeglądałam zdjęcia ilustrujące książkę Jedrychowskiej. Oto widok na górę Trzykrzyska i laweczki na której czytałam poezje Tuwima. Zauki, którymi szłam do kościoła Dominikanów, gdzie pomagałam odgrzebywać zmumifikowane trupy. Oto zdjęcie podwórzy uniwer-

syteckich, Baszta na Gorze Zamkowej i Troki, gdzie na jeziorze uczyłam się żeglować. Ach jakież to dalekie!

I nagle uswiadomiłam sobie, że moje obecne przywiązanie do afrykańskiego buszu, do stepów, rzeczek płynących leniwie wśród pustkowi, do ludzi prymitywnych i prostych wupływa z przyduszonej tęsknoty do Miasta, do "tamtejszych", do białoruskiego mszaru. Jedrychowska swa książkę zaczyna lirycznie. Pięknie opisuje Wilno mojej i jej młodości, Wilno, którego "ulice wioda tropami historii, a historia Wilna to nie tylko rozkwit architektury, malarstwa i rzeźby, to również dzieje walki o postęp i wolność". Tak kończy autorka swój rzewny rozdział o Wilnie:

"Nad lukiem bramy kaplicy. Przecudna twarz Madonny spogląda z jednakowo niezmierną powagą na dygnitarzy i robotników, na panie w futrach i starowinki w wyrudziłych paltach. Matka niejednego komunisty modli się o zwrocenie jej syna, którego rece zaciskają się na kratach wieziennych".

Ach po coż ta liryka, ach po coż ten patos!! Jest w tym coś odrazającego, jak gdyby morderca zaczął nagle wyspiewywać sonety o przesliczonych

oczach ofiary, która zgwałcił, a potem zarżnął.

Może Jedrychowska Wilno kochała, ale z wielką łatwością przechodził nad faktem jego utraty: "Wilno było tylko etapem, - pisze. - Wilno pozostało dla nas na uboczu, bo szlak większości naszej grupy przeszedł przez czerwony Lublin i zakończył się meta w czerwonej Warszawie.

Polacy lubią patos. My na emigracji, może pod wpływem chłodnej literatury angielskiej, staramy się patosu uniknąć. I dlatego zamiast zakończyć ten artykuł tak jak mi się w pierwszej chwili cisnęło pod pióro, napiszę po prostu: Przyponinam sobie piosenkę, która śpiewano w Polsce w latach dwudziestych, a która była trawestacją "Czerwonego Sztandaru":

Kotlety z kapusta
jedza katy,
a chleb z herbata
pijem my.
Lecz przyjdzie dla nas
dzień zapłaty,
kotlety z kapusta
bedziem zjadac my.

Ada Wincza

TO BY BYŁO NATYLE...

Po dwóch i pół roku prowadzenia, wraz z panem Krzysztofem Marskim, naszego dwumiesięcznika "W SEDNO", zdecydowałem się zrezygnować z funkcji wydawcy, czy jak kto woli redaktora technicznego. Powodów jest kilka, ale wśród nich chyba najważniejszym jest stosunek naszej polskiej społeczności do naszego przedsięwzięcia. Na pewno daleko nam do ideału pisma mogącego zainteresować wszystkich potencjalnych czytelników różnorodnością tematów poruszanych na naszych łamach. Ale przy, praktycznie, dwóch osobach (do niedawna trzech z p. Teresą Pagorską) opracowujących całość publikacji, i tak osiągnęliśmy chyba dość dobry poziom w informowaniu o przełomowych wydarzeniach w Polsce i na świecie. Chcieliśmy stworzyć instytucję, która służyłaby wszystkim jako podstawowe źródło wiadomości o Polsce i o życiu naszej społeczności w RPA. Doprowadzić do konsolidacji działań wszystkich organizacji polonijnych i popularyzować ich przedsięwzięcia. Prasa w każdej społeczności jest przecież główną płaszczyzną rozpowszechniania informacji i zasadniczym elementem w popularyzacji kultury i podtrzymaniu odrębności narodowej.

Nasze zamierzenie, mimo dwu i poletniego wysiłku nie przyniosło jednak spodziewanego rezultatu. Zamiast współpracy, spotykaliśmy się najczęściej z obojętnością, a nawet niukrywana niechęcią. Sami musieliśmy tropić wydarzenia w polonii bo organizatorom nie zależało na rozreklamowaniu swoich poczynan. Rezultatem była zwykle niska frekwencja na imprezach i słaby poziom, które pociągaly za sobą zniechęcenie zarówno organizatorów jak i uczestników do kontynuowania tych działań. Jedną z dość znanych i zasłużonych organizacji prawie zawiesiła już swoją działalność,

nie mogąc sama dotrzeć do wszystkich potencjalnych odbiorców, ale propozycje umieszczenia ogłoszenia na łamach "W SEDNO" uznala za dyshonor dla siebie. Coż zrobić.

Indywidualni odbiorcy, czyli prawie 16 000 - na polonia, też nie zaszokowała nas entuzjastycznym poparciem. Owszem bardzo wielu czyta nas, pociąga nas, robi odblaski ciekawszych artykułów, poklepuje nas po ramieniu chwaliąc za poziom i szatę graficzną, ale do wypisania czeku jakos nie dochodzi. Chyba jednak 30 randow to trochę za dużo jak na roczną prenumeratę i tylko 112 osób w bieżącym roku stać było na tą rozrzutność. Po 256 - ciu prenumeratach w zeszłym roku to jednak zaskakujący spadek. Te 3360 randow uzbierane w tym roku nie pokrywa kosztów jednego numeru pisma.

Ale nie o pieniądze tu chodzi, bo dzięki przepisaniu z książek telefonicznych 1500 adresom i przyzwoitym poziomem publikacji, moja żona nie miała specjalnych problemów ze znalezieniem chętnych na zamieszczanie reklam. Wygląda więc na to, że uda nam się sfinansować całe przedsięwzięcie do końca bez specjalnego wsparcia rodaków. Rzecz jednak w tym, że znikoma ilość prenumerat świadczy o zupełnej obojętności na jakakolwiek inicjatywę w naszym własnym, szeroko pojętym interesie. Dla Redakcji i kilkudziesięciu osób, które w ciągu lat pomagały w wydawaniu pisma, poświęcając tak jak my, bezinteresownie swój wolny czas (sam spędzałem nad każdym wydaniem po ok. 100 godzin), obecna sytuacja wydaje się jakimś dużym nieporozumieniem.

Zastanawiające jest również i to, że tylko tak nieliczna grupa ludzi w społeczności szczytującej się tak wysoka średnia wykształcenia, przyłączyła się do nas odczuwając przynajmniej w małym stopniu potrzebę twórczej działalności

kulturalnej. Jest to szczególnie dziwne, bo kraj w którym mieszkamy w tej dziedzinie życia ma bardzo niewiele do zaoferowania. Wielu z nas przeszło przecież przez ośrodki uniwersyteckie, w których dużo się działo i sami brali w tych wydarzeniach czynny udział.

Dla nas wszystkich jednak, redagujących i piszących "W SEDNO" była to wspaniała przygoda dająca olbrzymia ilość nowych doświadczeń, szczególnie zaś w tak historycznym dla Polski i świata okresie. Trudno było nadążyć z czytaniem coraz to nowych artykułów i opisów wydarzeń, bo te z przed tygodnia były już nieaktualne. Przy kilku wydaniach prawie 50% materiału musielismy zastępować aktualnym tuż przed oddaniem pisma do druku. W przypadku dwumiesięcznika bycie aktualnym jest bardzo trudne, toteż wybieraliśmy artykuły teoretyczne, bardziej analityczne niż opisowe w stosunku do zachodzących zjawisk. Chyba jakos się nam to udawało.

Coż, wypada mi jeszcze tylko podziękować za wyjątkowo udane współdziałanie koleżdze Krzysztofowi Marskiemu, naszym najwierniejszym współpracownikom pani Adzie Winczy i panu Henrykowi Samolinskiemu, oraz wszystkim tym, którzy udostępniali nam od czasu do czasu swoje teksty, pisali do nas listy, dostarczali różnego rodzaju materiały, od prasy polskiej i miejscowej na zdjęciach skonczywszy, przepisywali i sprawdzali teksty, pomagali składać i wysyłać nasze piemko.

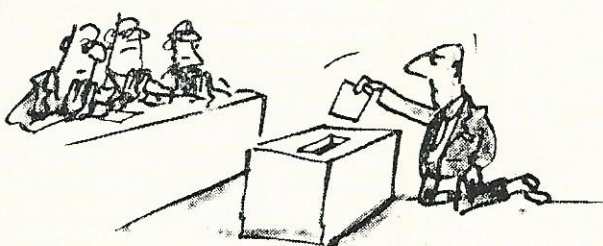
Dziękuję również wszystkim tym, którzy poparli nas prenumerując "W SEDNO" bądź wspierali je finansowo zamieszczając w nim swoje reklamy.

Wszystkim współpracownikom i Czytelnikom życze miłych, rodzinnych i pogodnych Świąt Bożego Narodzenia i wielu sukcesów w Nowym 1992 Roku.

Piotr Plebankiewicz

Fotoplastykon

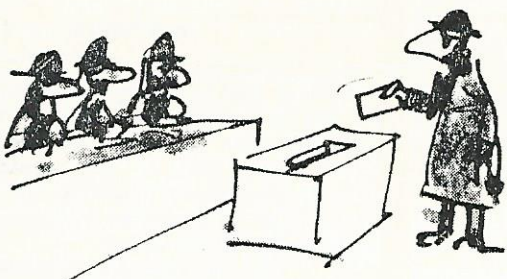
SKORO KATOLIK GŁOSOWAŁ NA KATOLIKA



KOMUNISTA GŁOSOWAŁ NA KOMUNISTĘ...



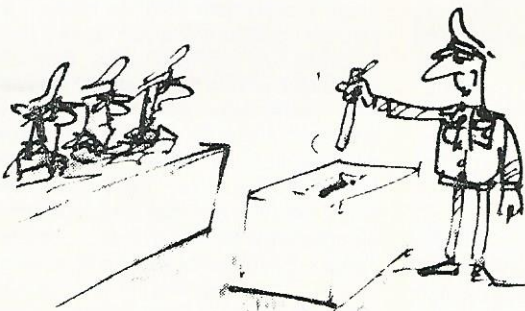
ŻYD NA ŻYDA ...



CHADEK NA CHADEKA ...



POLICJANT NA POLICJANTA



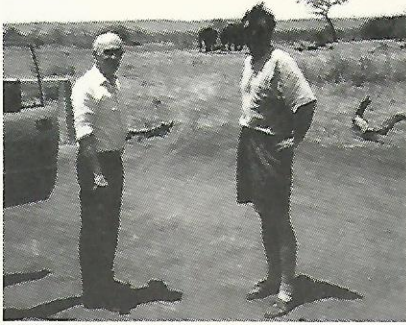
ЧТО ПОРОБОТНИК НА ЧТО ПОРОБОТНИК



...A NARODOWIEC NA NARODOWCA...



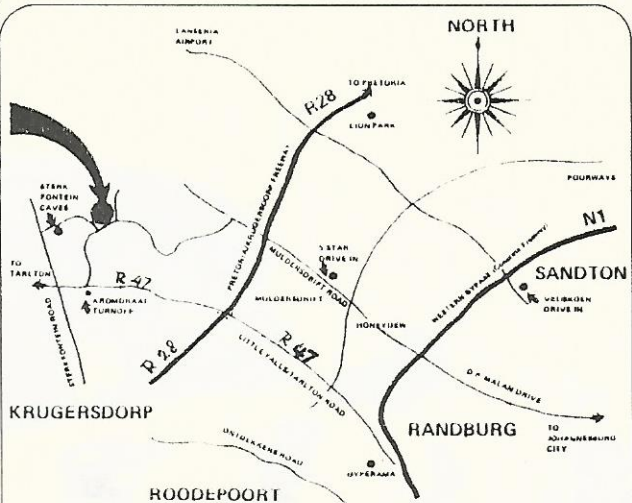
WYDARZENIA



W listopadzie odbyły się w Stellenbosch mistrzostwa świata w lotnictwie nawigacyjnym. Reprezentacja Polski po raz czwarty z rzędu nie dała reszcie świata żadnych szans zajmując cztery pierwsze miejsca w klasyfikacji indywidualnej, a także pierwsza pozycje drużynowo. Nasi rodacy startowali na produkowanych w Polsce "Wilgach", ale żeby nie było wątpliwości, że ich umiejętności idą w parze z jakością sprzętu, przesiadli się na "Cessny" potwierdzając swą doskonałość.

I pomysleć, że jeszcze cztery lata temu, gdy znajomy chciał sprowadzić dla siebie "Wilge" do RPA, nie dostał zezwolenia od władz bo, rzekomo, samolot nie odpowiadał światowym standardom. Dzisiaj pewien Afrykaner, mający wyłączność na sprzedaż "Wilg", tylko zaciera ręce po reklamie jaka zrobili mu za darmo Polacy.

W koncu października odwiedził Południową Afrykę jeden z najpopularniejszych polskich pisarzy-podroźników, pan Olgierd Budrewicz. Była to pierwsza, bardzo krótka wizyta, w czasie której pisarz odbył kilka spotkań z czołowymi politykami południowoafrykańskimi i miejscową polonią. Odwiedził Johannesburg, Pretorie i Cape Town, a nawet pozwolił sobie porwać na dwa dni do Parku Krugera (zdjęcie). Nie ukrywał swego oczarowania krajem, ludźmi, a szczególnie przyrodą. Obiecał wrócić w przyszłym roku na dłużej, żeby zebrać materiały do serii artykułów, a może książki o Afryce Południowej takiej jaka na prawdę jest.



WIGILIJNY KARP

Z RAINBOW TROUT FARM

R-11/kg za nieoczyszczoną rybę

R-12,5/kg za rybę oczyszczoną

Prosimy składać zamówienia pod numerem

011/ 957 0008. Odbiór karpia 22 i 23 grudnia 1991

MROZONE PIEROGI

RUSKIE-----R-6/porcja

Z KAPUSTA I GRZYBAMI----R-8/porcja

**UWAGA: zniżki przy dużych zamówieniach
tel. 016/ 335-260 lub 818-541 w godz 16-21**

Oferujemy najbardziej atrakcyjne ceny na przeloty do:



-wszystkich miast

-miast Dalekiego Wschodu

-stolicy Egiptu

-Warszawy

-Europy

-USA

-Kanady

-Bangkoku

-Hong Kongu

-Singapuru

-Kairu



Zalatwiamy wszystkie sprawy wizowe i

Zapewniamy kilkudniowy bezpłatny pobyt na wyspie śródziemnomorskiej lub w

Zadzwoń do nas: na pewno będziemy tani od innych agencji

Wiecej informacji udzieli Ci Ronnie lub Corne' pod tel.011/ 792 1913, lub 792 4281

Toll free tel 0800 118833

Nasz adres: Silver Pine Shopping Centre, Shop nr 5. Cnr. Silver Pine & River Rd

Malanshof 21 94

FILMY POLSKIE NA KASZETACH VIDEO

POLECA :

Eminex International

P.O. Box 59536

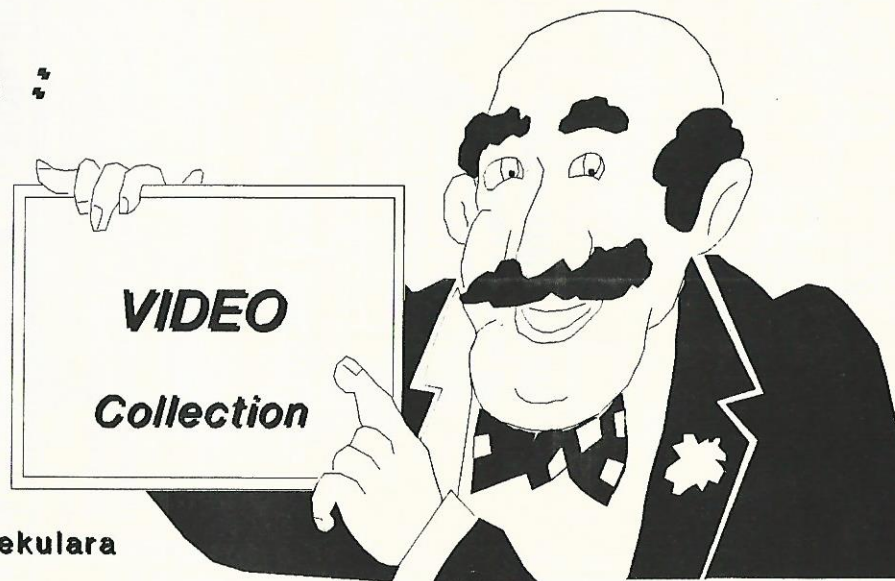
KAREN PARK 0118

TEL.: (012) 541 - 1246/7

FAX : (012) 541 - 1245

Wszelkie zapytania

prosimy kierować do p. Marka Sekulara



W sprzedaży mamy najciekawsze polskie filmy.

W naszym Katalogu znajdą Państwo takie filmy jak :

*WESELE, POTOP, KRZYŻACY, LALKA, ZIEMIA OBIECANA, FARAON,
ZAKAZANE PIOSENKI, POPIÓŁ I DIAMENT, PRZESŁUCHANIE,
DZIEJE GRZECHU I WIELE, WIELE INNYCH.*

*Aby otrzymać nasz pełny Katalog (ponad 50 pozycji, 17 stron)
prosimy o przesłanie R 5.00 na powyższy adres.*



DOSKONAŁE POLSKIE OGÓRKI KISZONE W SŁOJACH 850 G

Oferuje:

Eminex International, P.O.Box 59536
KAREN PARK 0118

Tel: (012) 541 1246/7 Fax: (012) 541 1245

Zapytania prosimy kierować to p. Marka Sekulara

Cena: R 55.00 za karton (12 x 850g) VAT incl.

UWAGA!! TA OFERTA JUŻ SIE NIE POWTÓRZY.

Treat yourself
to Wisla Wodka.

Specially
imported from
Poland.



True wodka was born in Poland and
distilled to levels of unsurpassed purity.
In this tradition, Wisla Wodka
is brought to you under license from
J.A. Baczewski, makers of fine
wodka since 1782.

Make Wisla your Wodka.

J.A. Baczewski. Makers of fine wodka since 1782.

Bottled in South Africa.